№ 13 Warszawa, dnia 14 (26) Marca roku 1881.



# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.


## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).


TREŚĆ: Wanda. — Droga do Serca. — Do lutnisty. — Trzy miesiące w Chorwacyi. — Kronika paryzka. — Nowe wydawnictwa. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: Tak blizko szczęścia (przekład z francuzkiego) J. B.

# WANDA.

## DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

**Na podaniach polskich osnuty,**

napisany wierszem rymowym

przez

**JÓZEFA GRAJNERTA.**

Z muzyką do kilku pieśni

*ś. p. St. Moniuszki.*

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

(Dalszy ciąg).

## Akt II.

Na lewo sceny przedsionek świątyni z posągami. W głębi gaj. Na prawo dąb obwity zieloną jemiołą. U przedproża świątyni ognie się palą na trójnogach. Na przodzie sceny, bliżej dębu, wielki biały kamień. Na widnokręgu wije się Wisła, a dalej zarysy Karpat.

### Scena pierwsza.

*Wchodzą: Bogdal w zbroi i Wisław, z warytem (rodzajem gęśli) przewieszonem przez ramię, z wieńcem na głowie.)*

BOGDAL.

Przebóg! jak czarna chmura świat dziś zmrocza,
Prośmy u dębu Peruna, Wisławie,
Niech nas oświeci w niepojętej sprawie:
Za cóż Lumira pożarła paszcz smocza?

*(Klęka.)*

Za cóż nam, Panie, dziw piekielny, srogi,
Ślesz między białe, złotowłose bogi?
Godnoż, Perunie, by z tobą pospołu
Potwór krwiożerczy dzierżył ster padołu!

WISŁAW.

Powstań, Bogdalu. Wierz mi, w tem ja sidła
Widzę rzucone przez zręczne mamidła...
Nigdy krwią Polan nie dymią ołtarze.
Dybalt ludowi czcić potwora każe, —
Lecz Dybalt — kto on? Istnie nie tuziemiec,
Spadły jak z deszczem, zda się, rodem niemiec.
Wrogów to sztuka, tuman ich ułudy,
By przez potworne bóstwa jarzmić ludy.
Chciej wierzyć ze mną w podszepty prorocze:

*(Ciszej.)*

Dybalt i Leszek gorsi niż łby smocze!
Wszak Leszek z brzegu stał jamy, powiada,
Czemuż wraz z bratem nie wszedł zwalczyć gada?

BOGDAL.

Wieszczu! w mój umysł ślesz podejrzeń gońca.

WISŁAW.

Tak, Leszek chytry z sępiemi oczyma,
I Dybalt skryty, wróg światła i słońca,
Co z Babą-Jagą tajną drużbę trzyma,
Iście po nocy miecz ukuli zbrodni...
Leszek korony zajrzał Lumirowi,
A Dybalt zbrodnię włożył w paszcz smokowi...
Lecz groza spadnie, zadrżycie wyrodni!

BOGDAL.

O! zadrżą; wprzódy ja duszę wyzionę,
Niż niecny zbrodniarz pochwyci koronę.
Biedny ty królu, orle już bezwładny,
Pod swemi skrzydły ciepłemi gadzinę
Wyhodowałeś, i nie wiesz, że zdradny —
Że ci gotuje chytry gad ruinę.
Wando! obrazie nadziemskiej bogini,
Czemuż cię siostrą zbrodniarza los wini!

*(Słychać śpiew uroczysty i brzmienie licznych gęśli, lir i kobz.)*

WISŁAW.

Lud w dzień Peruna gniewne zbłagać nieba
Śpieszy. Do czasu milczeć nam potrzeba.

### Scena druga.

*(Ciż sami. Wchodzi Wanda w orszaku dziewic. Obok smutnej Wandy, trzymającej wieniec barwisty w ręku, postępują: Świetlana, Milica i Lubonia, trzęsąc przed nią kwiaty. Za niemi wchodzą: Wisław, Gęślarze i Lirnicy, grając podczas śpiewu następnego:)*

ŚWIETLANA *(śpiewa).*

A gdzie stąpnie, kwiaty — kwiaty!
A gdzie spojrzy, zdroje — zdroje!
W oczach gwiazdy i bławaty,
W krąg motylów złotych roje!
Cud dziewica, krasopani,
Posmutniała ranna łani.

CHÓR DZIEWIC.

Och! czemuż kwiat baldryanu
Musim sypać tak poranu?
O! Marzanno, zmarłych pani,
Ulżyj boleść rannej łani.

MILICA *(jak wyżej).*

Czarująca jak Goplanna,
Miłująca jak Dziewanna,
Jak gołąbka tak niewinna,
Jako żywie dobroczynna.
Oj! na słonku zbladły lica,
Smutno, smutno bez orlica!

CHÓR DZIEWIC.

Och! czemuż kwiat baldryanu
Musim sypać tak poranu?
O! Marzanno, zmarłych pani,
Ulżyj boleść rannej łani.

LUBONIA *(jak wyżéj).*

Gdy się czesze, słonko świeci,
Gdy się myje, deszczyk leci,
Gdy się śmieje, to tęczami,
Gdy zapłacze, to perłami,
Dziś na słonku zbladły lica, —
Smutno, smutno bez orlica!

CHÓR DZIEWIC.

Szumi wiater po leszczynie,
Słonko błyśnie, burza minie,
Bratu złotą rzęsę w boru
Trzęsą ptaszki z nad jaworu.

WANDA.

Dzięki! Lubonio, Milico, Świetlano.
Wszystkich nas dzisiaj srodze ukarano...
Tak, — Lumir rajskiej dziedzicem korony, —
Duch jego w orła białego wcielony
Będzie ztąd wieści nosił Perunowi;
Lecz nas tu podał krwawemu żalowi...
A słysząc płacze siostry i rodziny,
I widząc smutek Lechickiéj krainy,
Sam się nam nigdy, nigdy nie pokaże...
Stryboju! duszę jego wiedź w pokoju,
Wieńce z baldryanu i bratków przyjm w darze, —
To kwiaty-płaczu, z łez wyrosły zdroju.
*(Zawiesza wieniec na dębie.)*

WISŁAW.

Nie biadaj marnie, królewska dziewico!
Boleść, zraniona stłum sinogarlico;
Co ziemskie, minie bez śladu i cienia,
Co z prochu wzrasta, to w proch się zamienia.
Lecz duch, co mieszka za siedmiu niebami,
Powrócić może i żyć między nami.
Jest-bo krynica wiecznego żywota —

BOGDAL.

Tak, cudna dziewo nad dziewy lackiemi!
Klnę się na duchy w chmurach i na ziemi,
Ja do krynicy życia w krańce świata
Pójdę, i wskrzeszę martwe ciało brata.
Tyś mi śpiewała, pomnisz, ongi w gaju,
O złotych jabłkach z drzew kwitnących w raju
Na Srebrnej górze Wiecznego żywota,
Dokąd nam dusze rwie dziwna tęsknota.
Pomnę twe pieśni, moja piewalica!
O onem morzu z złotemi rybkami,
Gdzie stojąc w srebrnem czółnie Mórz dziewica
Przy złotym maszcie z jedwabiu linami
Dyamentową na toń wędkę rzuca,
I czarującą piosenkę wynuca
Schwytaną z gęśli cudownego brzmienia.
Po owe gęśle, po zdrój odmartwienia,
Za trzydziesiątą podążę krainę,
Na trzydziesiąte głębie mórz popłynę,
Polem nie błoniem, ptakiem nie koniem
Pomknę, gdzie wiecznie brzmią cudowne strony,
Gdzie róż niebieskich jaśnieją korony,
I czerpnę wody z krynicy żywota.
A choć mi przyjdzie walczyć czarodzieje,
Z myślą o tobie Bogdal nie struchleje.
Ocknij się Wando, twa straszna tęsknota
W słup cię kamienny zmienia.

WANDA.

Bóstwo-czarne,
Krwi chciwe! czemuż twe stoły ofiarne
Karmią się nawet i takiemi łzami,
Które nie mogą płynąć nad zwłokami
Najbliższych sercu?, nie dość że im życie
Zabierasz, jeszcze ciała gubisz skrycie?...
*(Po chwili.)*
Bogdalu! w serce wlewasz mi otuchę, —
Lecz ja przeczuwam straszną zawieruchę:
Jak pokłócone z wichrem mórz odmęty,
Lud pójdzie z Leszkiem w rozbrat, w spór za-[wzięty, —
Dziś już zawodząc żale za Lumirem,
Powitał Leszka fal mrukliwych wirem...
Toż idź i wracaj, — tu wierne me dłonie
Wieniec wawrzynu splotą na twe skronie.

BOGDAL.

I płomień róży polnej niech z wawrzynem
Wieniec ten krasi. Czarowna bogini!
Ślubuję tobie w obec tej świątyni,
Twą dla mnie dobroć wielkim wsławić czynem.
Tyś władna ród mój nieznany do szczytu
Wznieś bohatérów, — mnie z twych ócz błękitu
Taka potęga jaśni zachwycenia,
Że pod jej blaskiem wzrosną pod sklepienia
Kwiaty poświęceń.

GŁOSY ZA SCENĄ.

Niech żyje! Niech żyje!

BOGDAL *(wstrzymując się u wejścia).*

Król idzie.

WANDA.

Dzień go dzisiejszy zabije!

### *Scena trzecia.*

*(Ci sami. Wchodzą: Krakus zgrzybiały, w purpurze, z mieczem u pasa, z koroną na głowie, za nim Leszek i Skarbimirz w błyszczących zbrojach; inni Rycerze w skórzanych, z takiemiż tarczami i młotami u pasa. Gęślarze grają smutne melodye.)*

KRAKUS *(do Wandy).*

Bądź pozdrowiona gołąbko zraniona,
I ty, Bogdalu, pójdźcie wraz do łona.
Witaj Chrobatów ludu nad ludami!
Strasznie! król oto posiwiały z wami,
Dziś po raz pierwszy czuje ciężar tronu.
Nigdy miedziany hełm nie gniótł mi skroni,
Teraz i miecz ten nieposłuszny dłoni, —
I miodu już mi dziś zbrzydły puhary.
Ciemno! Ma gwiazda niknie z nieboskłonu.
*(Zwraca się ku dębowi.)*
Za cóż, Perunie, ślesz gromy swéj kary
W bóstwie podziemném, co tak strasznie broi,
Jakby urągał staréj dłoni mojéj?
Panie! pierś moja dziś zgrozą szarpana;
Syn mój pożarty! Dziej się wola Pana;
Lecz gdyś doświadczył to wierne ci serce,
Zmiłuj się, Boże! zgładź smoka mordercę, —
I daj mi światła, bym po twym zakonie
Ostatnich wieców odbył sąd przy zgonie.
*(Siada na kamieniu, Skarbimirz podaje mu berło.)*

WIEŚNIAK *(wpadając, klęka).*

Królu! mnie syna pożarła gadzina.

1-sza KOBIETA *(przedzierając się przez tłum, klęka również).*

Królu! przepadła mi rano dziewczyna.

KRAKUS.

O! strasznych sądów piekielne żarzewie
Sypiesz dziś na lud, Perunie, w swym gniewie —
Na lud, co drugich niezazdrosny życia,
Chwyta miecz jeno dla mieczów odbicia.
Czyś za to gniewny, gromowładco świata,
Że nam zwycięzki orzeł chyżo wzlata,
Żem biegnąc w ślady za jego lotami,
Rozparł tron między dwóch mórz bałwanami?
Żem zgromił Goty, Galle i Panóny,
Które zajrzały Lechitom korony?!
Lecz morza owe to nasza oprawa,
Od wieków rodna tam mieszka nam sława, —
A kędyż Prowe najwyższy objawił,
Że źle ten działał, kto swych wrogów dławił,
I sto bram skruszył, setne dobył grody,
I mieczem napasł krwi żądne narody?
*(Krzyki za sceną.)*
Lecz cóż to za zgiełk, za wrzawa tam zdała?

SKARBIMIRZ.

Wrzask ludu huczy niby morska fala...
*(D. c. n.)*

---

# DROGA DO SERCA.

**NOWELLA**

przez

**C. Lynn Linton.**

Tłomaczyła z angielskiego

ZOFJA MARYA B.

(Dalszy ciąg).

Wówczas wszystkie eleganckie panie i piękni panowie zaczęli się tłumnie cisnąć do dziedziczki, dziękując jej w imieniu ludzkości za nadzwyczajną hojność z jaką raczyła wydać pięć funtów dla zapewnienia na kilka dni szczęścia trzydziestu malcom. I wszyscy wyrazili nadzieję że mali biedacy będą czuli należną wdzięczność dla swej wspaniałomyślnej przyjaciołki i opiekunki.

— Tak się spodziewam, rzekła Julja, która nie będąc socyalną demokratką, uważała, że nie należy chować światła pod korcem, ani też robić dobrze ukradkiem, lub rumienić się za to, że ludzie o tem wiedzą.

— Powinni być wdzięczni! zawołał gorąco Mr. Mattison.

— I będą niezawodnie, dodał słodko Mr. Tufnell.

Dziedziczka uśmiechnęła się łaskawie do swych niewolników, a spojrzała nieufnie na kapitana Luxmoore.

— Czyś pani urządziła tę dobroczynną komedyjkę dla pochwał świata i dla służalczej wdzięczności małych biedaków, czy też dla uczynienia im przyjemności, bez żadnej samolubnej myśli? zapytał kapitan, gdy przypadkiem znalazł się przy Miss Calvert, cokolwiek odosobniony od reszty towarzystwa.

— Zawsze jesteś pan dla mnie źle usposobiony. Zawsze pan potrafisz wynaleźć złą pobudkę dla wszystkich moich czynów, nawet najlepszych, odpowiedziała z goryczą.

— Czy nazywasz to pani złem usposobieniem, jeżeli się pragnie, aby kobieta, obdarzona tkliwem sercem, była sama sobą i pogardzała pochlebstwem? zapytał. Mam wrodzony wstręt do komedyi i przesady. Przypuszczałem, że i pani jesteś podobnego zdania. Nie sądziłem, że weźmiesz mi pani za złe, jeżeli obdarzę cię prawością i wyższym umysłem.

— Nie miałeś pan tej myśli, tak tylko się teraz tłomaczysz, zawołała spiesznie Julja.

— Przepraszam panią; nie zwykłem kłamać, ani nawet być o kłamstwo posądzanym.

Spojrzała na niego oczyma, które chciały być karcące i zagniewane, lecz nie mogły. Jego piękna twarz, zawsze tak dumna i obojętna, nosiła na

sobie jakieś piętno smutku i głębokiego zajęcia, które graniczyło prawie z tkliwością. Patrzył jej prosto w oczy, a ona, zbierając wszystkie swe siły, starała się rzucić mu spojrzenie, pod którem Mr. Tufnell rumienił się i spuszczał oczy, a Mr. Mattison otwierał swoje jak mógł najszerzej i śmiał się dobrodusznie; lecz nie mogła. Pod jego spojrzeniem musiała spuścić rzęsy, a jej zarumieniona twarzyczka pobladła; czuła pewien rodzaj nieznanego jej dotąd drżenia, rodzaj dziecinnej nieśmiałości i bojaźni, obcej zupełnie zasadom nowej szkoły, której była zwolenniczką.

Na szczęście, pomięszanie jej zostało przerwane zbliżeniem się jej małej świty i przesadzonemi pochwałami jej niestrudzonych pochlebców. To przywróciło jej pewność siebie i szacunek, jaki zawsze uczuwała dla własnej osoby. Cześć jaką jej oddawano należała jej się z prawa; pochwały nie były pochlebstwem, lecz słusznem uznaniem jej zasług i przymiotów; była tem, czem powinna być, uwielbianą królową swego małego światka, kobietą wyższą od mężczyzn pod każdym względem i odbierającą hołdy, jakie jej składano, jako należną sobie daninę. To też z dawną swą wyniosłością zwróciła się do kapitana Luxmoore, jak gdyby wzywając go, aby i on wziął udział w składanych jej dokoła pochwałach.

— Postąpiłaś pani szlachetnie, rzekł z prostotą; i poczuła jak się mimowolnie zarumieniła i uśmiechnęła na dźwięk tych kilku wyrazów, tak prostych jednak i tak chłodnych.

Wtem przypominając sobie, że stała z nim na wojennej stopie, roześmiała się sarkastycznie i zawołała:

— Cóż złego uczyniłam, że kapitan Luxmoore mnie chwali?

I znów spostrzegła w jego twarzy ten poważny, tkliwy, a jednak smutny wyraz, gdy z lekkiem westchnieniem usunął się na bok, a za chwilę życzył jej dobrej nocy.

Dnie wlokły się trochę ciężko po tej uroczystości szkolnej, wspomnienia której, nie wiadomo czemu, Julja znosić nie mogła. Na pozór, bawiono się równie dobrze jak poprzednio, bywały polowania i obiady, śniadania i *soirées* wizyty i spacery, ciągnął się ten sam szereg czczych przyjemności, jakiemi ludzie bogaci zabijają czas i nazywają to zabawą; a przecież cały blask jaki dawniej opromieniał to życie, znikł dla młodej dziedziczki nie wiadomo czemu, i chociaż dwaj wytrwali jej wielbiciele składali jej hołdy z większym zapałem niż kiedykolwiek, jednak uleciał już interes, jaki w tem kiedyś upatrywała, a nie większą znajdowała przyjemność w igraniu z ich sercami, jak myśliwy w zabijaniu domowego drobiu. Zanadto chętnie ugięli przed nią kolano i nie dali jej poznać rozkoszy, jaką daje trudno zdobyte zwycięztwo. Niczem niezwalczona uległość Tufnella i niezrażająca się pewność siebie Mattisona sprzykrzyły jej się, i była teraz pięknym, młodym Aleksandrem, płaczącym za nowemi światami do podbijania.

Spoglądała ze swych okien do Ashdown, przeglądającego z po za drzew; był to jedyny punkt, na którym jeszcze dotąd nie zwyciężyła; a nawet, o ile się zdawało, kapitan Luxmoore nie miał zamiaru zmienić swego postępowania, ani dać jej sposobności do podbicia jednego więcej ludzkiego świata. Napróżno też walczyła z jego żelazną wolą i niewzruszonem panowaniem nad sobą. Nie dał się wzruszyć żadnym z systemów jej dotąd znanych, i pierwszy raz w życiu znalazła człowieka, który nad nią zapanował.

Pewnego dnia, myśliwi wyruszyli w pole tak jak zwykle, ze swą Dianną na czele, wyglądającą bardziej niż kiedykolwiek na śliczną, niezależną amazonkę. Polowanie jakoś niebardzo się dziś udawało, przeszukano już wszystkie kryjówki zwierza i jak dotąd, bez żadnego rezultatu. Mr. Mattison nie opuszczał na chwilę Miss Calvert, i chociaż ta ostatnia dość wyraźnie mu okazywała, jak szczerze pragnęła go się pozbyć, on jednak ze swem dobrodusznem zaślepieniem nietylko tego nie widział, ale nawet był przekonanym że spełniał swój obowiązek i że czynił przyjemność zarówno jej, jak i sobie.

W odległości jak posąg ze spiżu siedział na swym rumaku kapitan Luxmoore, sam jeden trzymając straż na jednym z czterech rogów obławy. Julja często spoglądała ku tej stronie gdzie siedział tak nieruchomie, lecz on nie zdawał się pamiętać o jej istnieniu. Ku wielkiemu jej zniecierpliwieniu, ani trzaskanie szpicrutą, ani powiewanie chustką, nie większe robiły na nim wrażenie, niż gdyby był bryłą lodu, lub marmurowym posągiem. Wreszcie, w najwyższem rozdrażnieniu podjechała ostro ku miejscu, gdzie stał tak spokojnie i obojętnie. Mr. Mattison nie opuszczał jej ani na krok.

— Czyż wrosłeś w ziemię, Luxmoore, że nie ruszasz się ztąd krokiem? zapytał trochę ironicznie właściciel psiarni.

— Nie, odrzekł kapitan, lecz mam swoje własne poglądy co do polowania.

— Czy to jest przebiegłość, czy też lenistwo? spytała Julja z sarkastycznym uśmiechem.

Była na niego tak rozgniewana, że nie mogła oprzéć się pokusie powiedzenia mu czegoś złośliwego.

— Nie zdaje mi się, aby to miało być lenistwo, chociaż i to jest możliwe, odrzekł obojętnie.

— Tak to przynajmniej wygląda. Mógłbyś pan, co prawda, popróbować szczęścia razem z innymi, rzekła Julja, pogardliwie wstrząsając główką ze ślicznym dąsikiem.

Uśmiechnął się jak do rozkapryszonego dziecka. *Tout vient à qui sait attendre*, odrzekł, i niemal w tejże samej chwili lis wpadł im pod nogi.

Czy to, że Julja była dziś trochę rozdrażnioną, czy to, że jej kasztan, zawsze zanadto dziki dla młodej osoby, dostał dziś podwójną racyę żywności, dosyć że z tej, czy z innej przyczyny, straciła nad nim władzę, a kasztan pieniąc się i parskając, puścił się w szalonym pędzie wzdłuż zaoranego pola, które kończyło się jak wszyscy o tem wiedzieli, nizkim płotem, za którym, o dwadzieścia stóp poniżej, rozciągał się urwisto żwirem wysypany gościniec. Wszyscy zadrżeli na ten przerażający widok. Najmajętniejsza panna z okolicy w takiem śmiertelnem niebezpieczeństwie! Miss Calvert młoda, piękna, bajecznie bogata, mająca się zamienić w jednej sekundzie w martwą, bezkształtną bryłę. Mężczyzni pozostawili psy i lisa ich własnemu losowi i popędzili za rozhukanym koniem. Odgłos kopyt końskich zdawał się jeszcze przyspieszać bieg rozszalałego kasztana, a tem samem powiększał niebezpieczeństwo biednego dziewczęcia. Coraz bardziej zbliżała się do owego fatalnego płotu, wielu wstrzymywało konie i ze drżeniem odwracało głowy, aby nie widzieć jej okrutnego końca. Chwilę jeszcze, a już byłoby po wszystkiem, gdy kapitan Luxmoore, który w szalonym pędzie przebiegł przez pole, dopadł pierwszy do płotu i z narażeniem własnego życia zatrzymał w porę kasztana.

Miss Calvert zachowała zimną krew w sposób godny podziwu. Była bardzo blada i miała minę troszeczkę przerażoną; lecz chociaż kasztan zatrzymał się tak gwałtownie, że potrzeba było dobrego jeźdzca aby nie wypadł z siodła, ona jednak nie zachwiała się nawet, lecz uśmiechnęła się z wdziękiem do tego, który ocalił jej życie. Teraz, gdy już niebezpieczeństwo minęło, on może wydawał się więcej wzruszony niż ona.

— Dziękuję panu, rzekła gorąco, wyciągając ku niemu swą drobną rączkę; kasztan stał teraz tak nieruchomie, że zdawało się iż skamieniał z przerażenia.

Kapitan Luxmoore lekko się zarumienił, a oczy jego dziwnie zabłysły, gdy się wychylił z siodła i lekko dotknął jej ręki. Lecz i on potrafił dobrze nad sobą panować.

— Jestem szczęśliwy, że mogłem się pani na coś przydać, rzekł z prostotą; potem dodał z męzkim wyrazem. Wszyscy uważamy to za wielki zaszczyt, Miss Calvert, jeżeli możemy pani służyć.

— Nie wszyscy jednak uczynili dla mnie to, co pan, odrzekła, ciągle z tą niebezpieczną w twarzy słodyczą, która jej nadawała taki urok nieprzeparty.

Mr. Mattison i ci wszyscy mężczyzni, którzy przełożyli kobietę nad lisa, otoczyli ją teraz i zasypywali pytaniami, powinszowaniami, radami, tak, że prawie nie wiedziała co i komu ma odpowiadać. Przytem, pomimo całej swej dumy i odwagi, nerwy jej doznały olbrzymiego wstrząśnienia; pragnęła też gorąco aby ją zostawiono samą, lub też z kimś spokojnym, milczącym, nienarzucającym się, niehałaśliwym z kimś obdarzonym tą nieokreśloną wyższością, jaką powinien się odznaczać prawdziwy mężczyzna, z kimś coby jej był przyjemny, z kimś spokojnym, milczącym, nienarzucającym się, niehałaśliwym, — z kimś coby był silny za nich oboje, silniejszy nawet od niej samej.

— Głowa mnie boli, rzekła po chwili do kapitana Luxmoore, który jej teraz nie opuszczał. Wracam już do domu.

— A ja z panią, rzekł spokojnie, tak jak gdyby miał prawo po temu.

Uśmiechnęła się z wdziękiem.

— Dziękuję panu, będzie to bardzo uprzejmie z pańskiej strony, rzekła słodko i zwróciła się z pożegnaniem do Esquire'a, który jej towarzyszył z drugiej strony.

— Ależ ja muszę panią odprowadzić do domu, nie mogę jej puścić samą, zawołał z zapałem ten godny młodzieniec. Gdzież jest pani groom? nie możesz z nim sama jechać.

— Ja towarzyszę Miss Calvert, rzekł kapitan Luxmoore umiarkowanym głosem, lecz stanowczo.

I zanim Mr. Mattison zdążył odpowiedzieć, Julja dodała trochę pospiesznie: tak jest, panie Mattison, kapitan Luxmoore odprowadzi mnie do domu, a pan kończ polowanie. Tracisz czas daremnie.

— Jabym jednak wolał pojechać z panią, rzekł Esquire stanowczo.

— A ja wolę abyś pan został, odparła dziedziczka podobnież. Do widzenia.

— Miss Calvert!

— Chodź pan, kapitanie Luxmoore, rzekła Julja udając, że nie słyszy; i odjechali oboje zostawiając na koszu biednego Mattisona, który tym sposobem stracił odrazu lisa i pannę.

— Wstąpisz pan na śniadanie? spytała Julja, gdy wjeżdżali do Beechover.

Uśmiechnął się.

— Jeżeli pani pozwolisz...

— Z przyjemnością, odrzekła, starając się napróżno przybrać ton obojętny. Nie mogła udawać tak dobrze jak chciała, i bynajmniej nie okazywała się nieprzystępną; lecz jej towarzysz nie zdawał się tego wcale spostrzegać i Dianna ze swym niezbadanym Endymionem weszła do domu.

Pierwszy to raz kapitan Luxmoore był gościem w Beechover i było to dla niego prawdziwą nowością, gdy widział Miss Calvert cichą, naturalną, prawie tkliwą, nie udającą nienawiści de mężczyzn, pełną prawdziwej kobiecości. Była istotnie czarującą, pełną wiele wyższego wdzięku niż kiedy odgrywała rolę śmiałej amazonki, lub lwicy salonowej, mającej za punkt honoru doprowadzanie mężczyzn do szaleństwa.

Aby mu się podobać, grała po śniadaniu i śpiewała jego ulubione śpiewy; pokazywała mu swoje rysunki i rozbierała jego ulubionych autorów. Zdawała się odrzucać wszelką przesadę i była tą słodką, pełną wdzięku i prostoty kobietą, która pragnie się podobać, ale nie chce podbijać, i która porzuciła swe szaleństwa dla słodyczy, jaką daje poczucie prawdziwej kobiecości.

On zaś, z tym wyrazem subtelnej tkliwości, która ją wzruszała tak, jak ją dotąd nic jeszcze wzruszyć nie potrafiło, panował zawsze nad sobą i nad nią. Dawał jej uczuć, że nawet miłość nie potrafiłaby zamienić go w jej niewolnika, i że chociażby nawet podbiła jego serce, to musiałaby zawsze szanować jego męzką godność.

Spędzili w ten sposób parę godzin, pijąc pełnemi usty słodką truciznę miłości, gdy nagle wpadł Mr. Tufnell blady, zadyszany, z zaczerwienionemi oczyma, przerażony niebezpieczeństwem, na jakie była narażona „*son adorable*", a które stujęzyczna plotka stokrotnie jeszcze powiększyła. Tuż za nim przybiegł Mr. Mattison rozgorączkowany, niespokojny, i który zaledwie mógł się pocieszyć widokiem „*de son adorable*" zdrowej i całej.

Za ich przybyciem kapitan Luxmoore wstał i pożegnał się, z wyrazem twarzy człowieka, którego niebiańskie widzenie rozwiało się i który z przedsionka raju wrócił do prozy codziennego życia, do jego walk, łez, przeciwności i życzeń nigdy nie spełnianych.

Mr. Tufnell i Mr. Mattison nie zabawili długo. Obydwaj uznali, że niebezpieczeństwo na jakie była narażona Miss Calvert, musiało zbyt silnie oddziałać na jej nerwy i że jej temperament, zawsze cokolwiek „prędki", stawał się teraz bardzo groźny i że należało zostawić ją na jakiś czas w samotności, aby zachować nadal przyjazne stosunki.

---

Część III.

## Zakończenie.

Tak jest, Miss Calvert była bez zaprzeczenia bardzo „prędkiego" temperamentu. Ani Mr. Tufnell, ani Mr. Mattison nie wiedzieli nigdy na pewno z której strony zawieje wiatr przynoszący łaskę ich królowej i w skutek tego czuli się bardzo nieszczęśliwymi. Właściwie powiedziawszy, Mr. Tufnell był nieszczęśliwy, Esquire zaś tylko zakłopotany. Pierwszy miał słabsze nerwy i mniejszą ufność w sobie niż drugi, ale też za to nieśmiały ów młodzieniec miał niezmordowaną pocieszycielkę w Mrs. Marsh, która, jak wiemy, od początku dawała mu pożyteczne rady. Wprawdzie co do zalecanej mu przez nią uległości, to nasz biskup *in spe* uważał, że jak dotąd, to nie wydawała ona zbyt świetnych rezultatów, gdyż im więcej się poniżał, tem bardziej deptano go nogami, tak że po niejakim czasie zaczął się zastanawiać czy dobrą była obrana przezeń droga i czy nie lepiej było zacząć trochę z wyższego tonu.

Jedną przynajmniej miał pociechę, a mianowicie: że Mr. Mattison, który nie był wcale pokorny, nie lepiej był traktowany, chociaż nie zdawał się tego wcale spostrzegać i przyjmował od pięknej panny wszelkie afronty, jak gdyby to były dowody jej szczególnych względów. W ogóle zdawało się, że młoda dziedziczka wyrażała istotne swe przekonanie, gdy wychwalała niezależność i zapewniała o swej niezależności do mężczyzn. To też, nikt nie uważał za przesadę ubolewania Mrs. Marsh, która mówiła często z westchnieniem: droga moja Julja jest najlepszą istotą na świecie, lecz ma przytem tak straszny temperament!

W każdym razie, wikary nie ustępował z placu, i jego piękna przyjaciołka tak wytrwale stała po jego stronie, że nieraz pragnął w głębi serca, aby można zamienić osoby i usposobienia i obdarować Julję Calvert słodyczą i łagodnością jej uroczej i sympatycznej przyjaciółki Hetty Marsh.

Nikt nie wiedział właściwie jaka była przyczyna tych napadów złego humoru, i gdyby kto był o to zapytał samą Julję, to zapewne i ona nie mogłaby dać zadawalniającej odpowiedzi. Nie miało to żadnego związku z kapitanem Luxmoore, bo od czasu owego nieszczęśliwego wypadku raz tylko ją odwiedził, niezastawszy jej nawet w domu.

Tymczasem, na zakończenie sezonu polowań, Mr. Mattison wydał świetny bal, który, naturalnie stał się wielką nowiną dnia, i po którym niezmiernie wiele się spodziewano. Dianna, rozumie się, na nim królowała jak zwykle, a w tłumie znajdował się również jej klerykalny wielbiciel i ten zagadkowy kapitan, którego nikt nie wiedział w jakim charakterze należało umieścić: czy jako zrozpaczonego kochanka, tłumiącego odważnie swą miłość, czy też jak kogoś zupełnie obojętnego, niechcącego tracić czasu na współubieganie się o tę wielką nagrodę.

Bal był tak świetny, że zaćmił wszystkie poprzednie uroczystości tego rodzaju, a dobroduszne pogodne oblicze Esquire'a jaśniało prawdziwie słonecznym blaskiem zadowolnienia. Postanowił już w tym tygodniu położyć koniec swej niepewności i wymódz na dumnej piękności wyznanie, które, o tem nie wątpił, miało mu nareszcie oddać w posiadanie to buntownicze serce.

Wszyscy zwrócili uwagę na jego rozpromienione oblicze i wyciągali ztąd przeróżne wnioski. Nawet Mrs. Marsh rzekła do wikarego: wygląda tak, jak gdyby ujrzał anioła! Poczem dodała z westchnieniem:

— Czy pan przypuszczasz, że Julja mogłaby uczynić tak zły wybór? A jednak, czemżeby innem można sobie wytłomaczyć jego niezwykłe wzruszenie i to szczęście tryskające z jego twarzy?

— O Mrs. Marsh, nie mów pani tego! jęknął żałośnie Mr. Tufnell. Zgubi się na wieki, jeśli się dostanie pod wpływ tak pospolitej natury. Warta jest czegoś o wiele lepszego!

Mrs. Marsh spojrzała nań słodko.

— Masz pan słuszność, odrzekła, i wikary dumnie podniósł głowę, rozumiejąc dobrze co chciała powiedzieć.

W tej chwili, Julja, z bardzo pochmurną twarzą zbliżyła się, oparta na ramieniu młodego Pageta, którego natychmiast pożegnała zimnym ukłonem, oznajmiając, że jest zmęczoną.

— Czy pozwolisz, najdroższa, abym cię okryła tym szalem? rzekła Mrs. Marsh słodziutkim, pieszczotliwym głosikiem, rozwijając przezroczystą koronkową chustkę.

Julja będąca widocznie w złym humorze, odwróciła głowę i rzekła:

— Nie.

— Tak się obawiam, abyś się nie zaziębiła, perswadowała wdówka z miodową słodyczą, kontrastującą tak żywo z szorstkiem obejściem się Miss Calvert, że uderzyło to nawet wikarego, który zapragnął w głębi serca, aby można było zamienić osoby i usposobienia.

— Niedorzeczność, Hetty, rzekła dziedziczka. Wiesz dobrze że się nigdy nie zaziębiam.

— Ależ moja droga! prosiła z troskliwością Hetty, tak jak gdyby młoda, dzielna amazonka była słabą suchotnicą chwiejącą się nad otwartym grobem. Następnie zwróciwszy się do wikarego, prosiła go z najwyższym wdziękiem, aby zechciał użyć swego wpływu i skłonił Miss Calvert do lepszego troszczenia się o swe drogocenne zdrowie.

— Uczyń to, Miss Calvert! rzekł Mr. Tufnell robiąc słabe usiłowanie w celu zarzucenia, na jej pełne, silne ramiona, koronkowej chusteczki.

Julja usunęła się wyniośle.

— Nie potrzebuję tego, panie Tufnell. Nudzisz mnie pan! dorzuciła z tak wyraźnem zniecierpliwienieniem na twarzy i w głosie, że nieszczęśliwemu wikaremu zdawało się, że dostał moralnego kopnięcia nogą.

Ralf Mattison, który się właśnie w tej chwili zbliżył, skorzystał z niełaski, w jaką popadł Mr. Tufnell; gdyż dla ukarania wikarego za jego śmiałość Julja była tak nadzwyczajnie grzeczną dla Esquire'a, że tenże uważał już naprzód całą sprawę za pomyślnie skończoną.

Kapitan Luxmoore, który w niejakiej odległości rozmawiał z Lordem Freshfield o ostatnich wiadomościach z Indyi, pozornie nie patrzył w tamtą stronę, lecz w istocie widział wszystko jak najdokładniej. Po chwili też opuścił swego towarzysza, i jak gdyby spiesząc jej z pomocą, zbliżył się do małego kółka, którego centrum stanowiła Julja.

— Czy nie zechcesz pani pójść ze mną do bufetu zjeść porcyą lodów? zapytał, jak gdyby dając jej punkt wyjścia.

— I owszem, odrzekła Julja, rzucając mu pełne wdzięczności spojrzenie. Kapitan Luxmoore podał jej rękę i odeszła z nim razem, nie raczywszy skłonić nawet głową swym niepocieszonym wielbicielom, nie rzuciwszy słówka swej obrażonej towarzyszce.

Gdy przechodzili przez długi szereg pokoi prowadzących do bufetu, kapitan Luxmoore spojrzał na śliczną rączkę opartą na jego ramieniu.

— Nie widzę krwi na tych białych paluszkach, rzekł, a jednak ranią one głękoko, głębiej niżli ostrze stali.

— Jesteś niesprawiedliwy, zawołała z oburzeniem, zawsze niesprawiedliwy względem mnie.

— Przeciwnie, jestem jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego tu pani posiadasz, rzekł poważnym, serdecznym głosem, który wzruszył ją głębiej niż to okazywała.

— Przyjacielem! moim przyjacielem! A niechże mnie Bóg broni od wielu podobnych przyjaciół! zawołała starając się utrzymać na dawnej odpornej stopie.

— Czy pani to szczerze mówisz? zapytał głosem cichym i pełnym tkliwości, na dźwięk którego zarumieniła się i zadrżała, tak jak kiedyś. Czy do mnie mówi Miss Calvert, czy też jej zraniona próżność?

— Ja sama, rzekła Julja odwracając głowę i naprózno chcąc się rozgniewać za jego śmiałość.

Lekko przycisnął do siebie jej rękę; tak lekko, że nie wiedziała czy to było przypadkiem, czy naumyślnie.

— Znam panią lepiej, niż pani znasz się sama, rzekł łagodnie, i może kiedyś sama to przyznasz.

— Chyba w takim razie, jeżeli się uznam za jedną olbrzymią massę błędów, za potwora, pozbawionego jednej choćby dodatniej strony, odparła.

— Czy ten portret jest pani dziełem, czy mojem? zapytał z uśmiechem.

— Pańskim, odrzekła śmiało.

Roześmiał się.

— Nie przyznaję się do niego, Miss Calvert. Kiedyś może obdarzę panią portretem mojej roboty, przedstawię panią taką, jaką ja cię widzę.

— Błagam pana, nie rób tego! zawołała. Znalazłabym się tak wstrętną, że wyparłabym się siebie na wieki.

Spojrzał jej w oczy.

— Być może, wyparłabyś się pani mnie, rzekł najsłodszym, najwymowniejszym głosem.

— Czemu? spytała bawiąc się wachlarzem.

— Karząc mnie za zarozumiałość, odrzekł:

Błysk tryumfu strzelił jej z oczu. Czyż nareszcie go zwyciężyła? Czyż i on był jedną z jej ofiar równo z innemi? Czyż istotnie nikt jej się oprzéć nie potrafi? Było to tylko jedno szybkie, błyskawiczne spojrzenie, lecz kapitan Luxmoore je pochwycił i odgadł.

— Jeszcze nie teraz, rzekł do siebie i zwróciwszy się z miną pełną salonowej wytworności do Miss Calvert, słuchającej co miał powiedzieć, ze spuszczonemi oczyma i ze wzruszeniem na twarzy, rzekł: Czyż pani nie wiedziała, że umiem rysować i czy to pani nie obrazi, jeżeli ją poproszę o jedno posiedzenie?

— Chociaż mnie to nie obrazi, jednak pańskiego życzenia nie spełnię, odparła Julja po chwili, używając całego panowania nad sobą, aby pokonać gwałtowne swe wzburzenie.

— Nie? To będzie okrutnie, rzekł, zbliżając się do stołu zastawionego chłodnikami.

*(D. n.)*

## Do Lutnisty.

Gdy na nutę sarkazmu pieśń cynicznie dźwięczy,
Nienawiść ku ludzkości zgryźliwie wyraża,
I czerni bezlitośnie cudne barwy tęczy,
O!... takiej ja melodyi nie chcę od pieśniarza!

Lecz jeśli smutek w sercu daremnie tajony,
Spłynie po strunach lutni łezką przezroczystą,
A potem w niebo wzlecą poddania się tony,
O! takie pieśni często śpiewaj nam lutnisto!

Złość ludzką możesz nieraz skarcić ostrą nutą,
A nawet w poetycznie pięknym dyssonansie,
Psa sercem, konia duszą darzyć niezepsutą.

Ale choć wszystko smutne w życiowym romansie,
Gdy Hamlet swą ideą częstuje zatrutą,
Nie marnuj czystych dźwięków w takim mezaliansie.

*Emilia.*

## TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

### Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

V.

Badając bacznie instytucye Kroacyi, musimy podziwiać szybki rozwój i szczęśliwy zwrot nadany nauczaniu publicznemu podczas kilkunastu ostatnich lat. Pomimo długo-wiekowego ucisku, kraj ten nie stracił nigdy poczucia narodowości; nieprzerwane używanie ojczystego języka dopomogło mu do zachowania tego świętego skarbu. Dotąd język chorwacki jest najwięcej rozpowszechniony między Słowianami południowymi zamieszkującymi Bulgaryę, Serbię, Węgry południowe, Chorwacyę, Bośnię, Hercegowinę Czarnogórze i Dalmacyę.

Jednym z pierwszych warunków stawionych przez sejm chorwacki, gdy szło o przyjęcie konstytucyi z 1867 roku, było zastrzeżenie, że język narodowy zostanie uznany jako urzędowy i administracyjny — i skutkiem tego stał się on podstawą nauczania i wykładowym we wszystkich zakładach publicznych, od najniższych do najwyższych.

Patryotyzm chorwacki oczekiwał z takiem upragnieniem i tak gorliwie przygotowywał się do tego zwycięztwa, że jakby za dotknięciem czarnoksięzkiej laski pojawił się z łona kraju liczny zastęp profesorów i nauczycieli. Dość było lat kilku do uorganizowania systemu nauczania, od szkółek do najwyższych zakładów, który nic nie pominął, nie zapomniał o żadnej gałęzi wiedzy.

*Uniwersytet królewski*, założony pod opieką cesarza Franciszka Józefa, otwarty w 1874 roku, obejmuje wydziały teologii, prawa cywilnego i filozofii; na tym ostatnim wykładane są nauki przyrodzone, matematyka, filozofia, archeologia, filologia, oraz literatury: chorwacka, słowiańska i niemiecka.

*Akademia słowiańska sztuk i umiejętności* założona jest w 1867 r. za inicyatywą i staraniem biskupa Strossmayera. Prezesem jej jest kanonik Franciszek Ratzki, uczony erudyta, znakomity filolog, znany z licznych prac historycznych, a członkami najuczeńsi mężowie chorwaccy. Prócz tego liczy wielu członków-korespondentów między najsławniejszymi profesorami uniwersytetów w Halli, Pradze, Wiedniu, Berlinie, Belgradzie, Gratcu, Kijowie, Moskwie, Petersburgu, Odessie i Peszcie. Dzieli się na cztery sekcye: historyi i filologii, filozofii i prawa, matematyki i nauk przyrodniczych, sztuk pięknych.

Prace Akademii ogłoszone drukiem, tworzą już dziś przeszło 50 tomów, wydanych p. t. *Rad jugoslawenske academije znanostich i umjetnostich.* (Zbiór prac Akademii sztuk i umiejętności Słowian Południowych). Oprócz tego Akademia wydaje swoim nakładem wiele dzieł naukowych oraz odnoszących się do historyi i piśmiennictwa Chorwacyi, Slawonii i Dalmacyi.

*Gymnazya* czyli *Licea* są to średnie zakłady naukowe, w których kształci się wielka liczba młodzieży; założone są nietylko w Zagrzebiu, ale także w Essek, Fiume, Karlstadzie, Waradinie, Pozega, w Winkowcach i w Zeng. Nauka języków: chorwackiego, łacińskiego, greckiego i niemieckiego jest obowiązkową, jak niemniej nauka stenografii i głagolicy — nauka języka włoskiego i francuzkiego zależy od woli uczni.

*Szkoła sztuk technicznych* odpowiada francuzkiej „Szkole sztuk i rzemiosł”, w niej kształcą się inżynierowie i budowniczowie. Oprócz tego, w Zagrzebiu, istnieją jeszcze takie szkoły w Belowar, w Essek i w Rakowac. Wykład języka francuzkiego jest w nich obowiązującym; uczniowie pragnący wyżej kształcić się w tych przedmiotach, po skończeniu szkoły technicznej udają się do szkoły politechnicznej w Wiedniu, w Gracu, lub najczęściej w Zurychu.

W Kreutz istnieje *Praktyczna szkoła rolnictwa* i zamierzono założyć podobne w Essek, w Slawonii. Miasto Zagrzeb posiada osadę rolniczą w Nova-Vez (Nowa Wieś) w której zajmują się hodowlą wszelkich krzewów i drzew owocowych. Doświadczalny ten ogród zostaje pod zarządem *Chorwackiego towarzystwa rolniczego*, zasiadającego w Zagrzebiu, a założone zostało przez wielkich właścicieli ziemskich.

Nauczyciele i nauczycielki szkół elementarnych i wiejskich kształcą się w zakładach specyalnych czyli *Szkołach przygotowawczych* zostających pod kierunkiem duchownych i osób świeckich, jak najzgodniej do jednego zmierzających celu. Najczęściej nauczyciel elementarny bywa zarazem organistą przy miejscowym kościele.

W takich szkołach uczą dzieci czytać, pisać, rachować, oraz śpiewu i gimnastyki. Do Szkoły przygotowawczej na nauczycieli tych szkół przyjmują się tylko uczniowie, którzy skończyli czteroletni kurs w gimnazyum. W szkole przygotowawczej kurs jest czteroletni.

Młodzież zamierzająca obrać sobie zawód wojskowy, kształci się w *Szkole wojskowej* w Zagrzebiu, po złożeniu odpowiedniego egzaminu; skończywszy kurs trzyletni, uczniowie wychodzą w stopniu podoficerów.

Nie brakuje także wysoko uzdolnionych nauczycieli śpiewu, muzyki, rysunków i malarstwa, oraz wszelkich talentów salonowych, którzy wykształcili już wielu utalentowanych artystów. Zagrzeb posiada także konserwatoryum i dwa towarzystwa muzyczne *Kolo* (taniec) i *Sloga* (zgoda) liczące znaczną liczbę członków.

Rozległy ten system edukacyjny, do którego nie wiele trzebaby dodać lub zmienić, znalazł w krótkim przeciągu czasu w własnym kraju przedstawicieli doskonale odpowiadających swemu zadaniu, którzy wypracowali w języku ojczystym bogaty zbiór dzieł pedagogicznych, przeznaczonych do nauczania młodzieży.

VI.

Zamiłowanie wiedzy i nauki tak zrosły się z duchem ludu chorwackiego, iż w przeciągu kilku lat ostatnich powstały aż trzy towarzystwa naukowo-literackie: *Matica hrvatska* (Macierz chorwacka), *Hrvatski dom* (chorwacka ojczyzna), *Drutzwo svetoja Jerolima* (Towarzystwo św. Heronima.

*Hrvatski dom* jest to stowarzyszenie zarazem literackie i dobroczynne; wiele dzieł zostało wydanych jego kosztem, a oprócz tego przychodzi z pomocą biednym uczniom.

*Macierz chorwacka* ma licznych korespondentów we wszystkich ważniejszych gminach; zadaniem jej jest rozkrzewianie i rozpowszechnianie nauk i pożytecznych wiadomości.

Wydawnictwa Macierzy nie ograniczają się wy-

łącznie do historyi i utworów literatury chorwackiej, zakreśliła ona sobie szersze zadanie; pragnie zapoznać ziomków, za pomocą dobrych i wiernych tłomaczeń, z przedniejszemi dziełami zagranicznych pisarzy, mogącemi bawić lub uczyć. Z autorów francuzkich przetłomaczono i wydano kilka dzieł Juliusza Vernes, *Przygody Telemaka, Pawła i Wirginię* i wiele innych, i zamierzono wydać teatr Racine'a i bajki La Fontaine'a.

Kosztem i staraniem *Macierzy chorwackiej* wydane także zostały romanse historyczne Augusta Senoa, przełożone już na kilka języków. Pisarz ten posiada szczególniejszy talent wprowadzania do utworów wyobrazni osób historycznych, które rzeczywiście odegrały ważną rolę w dziejach krajowych, i umie opisywać je pendzlem malarza a duszą poety.

Do najznakomitszych utworów jego należą między innemi: *Zlatarovo Zlato* (klejnot złotnika) romans z XVI-go wieku; *Diogenes,* obraz Chorwacyi za panowania Maryi-Teressy.

August Senoa jest w całem tego słowa znaczeniu romansopisarzem narodowym; jak Walter Scott, dlatego tylko chwyta pióro, aby budzić gorącą miłość ojczyzny, opisując jej piękności, podnosząc jej chwałę. Nikt lepiej od niego nie zna dziejów ojczystych, obyczajów, tradycyj i legend, nikt nie wtajemniczył się tak w ducha języka chorwackiego, tak nadającego się do utworów literackich.

Senoa jest także poetą ze szkoły Lamartine'a i Musset'a. Urodził się w roku 1835. Poezye jego drukowane są w *Vienatz* (w Wieńcu), przeglądzie literackim wychodzącym w Zagrzebiu, rozpowszechnionym w Kroacyi. W roku 1876 wydał dzieło: *Antologija piesnictwa hrvatskoga i srbskoga narodnoga i umjetnoga, sa uvodom o poetici, sastavio August Senoa. U Zagrebu 1 vol. 1876.* (Antologia poetycka, narodowa i artystyczna literatury chorwackiej i serbskiej, z przedmową o języku poetycznym). Antologia ta, wydana kosztem *Macierzy chorwackiej,* jest prawdziwym pomnikiem historycznym, obejmującym wyjątki z najcelniejszych utworów przeszło 150 poetów Słowian południowych, od początku XV-go wieku do naszych czasów.

Chorwacya posiada liczny zastęp poetów lirycznych, czerpiących najwznioślejsze natchnienia ze wspomnień bohaterskich walk staczanych przez Słowian południowych z Turkami, z obrazów wiekowych cierpień ich braci Bośniaków i Hercegowińców uciskanych przez begów renegatów. Zwykłą treścią ich utworów jest miłość ojczyzny chorwackiej, cześć jaką ludy te zachowały dla swoich gór, lasów, rzek i pól urodzajnych, prostota obyczajów, szczera wiara, cudowne legendy, obrazy najtkliwszych, najrzewniejszych uczuć. Poezya i muzyka kroacka tchnie tym smutkiem roztaczającym się w umysłach ludów i jednostek, których gorące pragnienia często bywały zawiedzione, nigdy nie ziszczone. Tak rzewny smutek wieje z pełnych wdzięków i uczucia utworów Gundulicza, Stanka Wraz, Ljudewita Gaï, Preradowicza, Truski'ego i Muzaranicza.

*(D. c. n.)*

# KRONIKA PARYZKA.

Jeden ze zmarłych przedwcześnie pisarzy oznaczył bardzo dowcipnie główne piętna ważniejszych przejść w historyi Francyi, licząc od wielkiej rewolucyi aż do drugiego cesarstwa włącznie. W czasie pierwszej rzeczypospolitej wspomnienia starożytnej Grecyi i poświęcenie dla ojczyzny bez granic, były wyrazem przekonań ogólnych; za pierwszego cesarstwa sława wojenna i huk dział; za Burbonów, nabożeństwo i dzwony kościelne: za Ludwika Filipa, dym z kominów fabrycznych i zbliżenie szlachty z mieszczaństwem; za drugiego cesarstwa, użycie w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu.

Odpowiednio do ogólnego usposobienia pisane były i listy romansowe. Dawny republikanin przybierający imię Antoniusza, żegna listownie piękną Letycyę, bo stanąwszy w szeregach ochotników, śpieszy na granicę walczyć z najezdnikami, nie ma więcej czasu do osobistego pożegnania się ze swą ukochaną.

Żołnierz napoleoński pisze w następujący sposób: Piękna Damo! Wczoraj niosąc sztandary nieprzyjacielskie przechodziłem przez bramę tryumfalną, nie myśląc o żadnem niebezpieczeństwie. Paf! kula wysłana przez twoje oczy' uderzyła mnie w samo serce. Składam broń i błagam o twarcie bramy fortecy wiodącej do twego serca.

Za Ludwika XVIII-go: Pani! Znajdując się wczoraj na nieszporach w kościele Notre-Dame, w chwili w której odmawiając koronkę, zwróciłem wzrok ku wielkiemu ołtarzowi, zobaczyłem anioła w twej postaci. Zmówię milion pacierzy dziękczynnych, jeżeli za przyczynieniem się Najświętszej Panny serce twe zwrócone do Stwórcy wszechrzeczy, zaszczyci mnie promykiem twej łaski.

Za Ludwika Filipa: Pani hrabino! Posiadam fabrykę cukru i przędzalnię jedwabiu przynoszące razem przeszło sto tysięcy franków czystego dochodu, drugie zaś tyle stanowi procent od kapitału będącego moją własnością. Pani hrabina wychodzi z rodziny znanej we Francyi od lat trzystu. Połączenie mitry szlacheckiej z majątkiem byłoby wielce pożyteczne dla stron obydwu.

Nareszcie za drugiego cesarstwa kochanek nie bawi się w opisywanie uczuć, ale przesyła prawdziwy inwentarz ofiarowanych przedmiotów i z zupełnym spokojem oczekuje na pomyślną odpowiedź.

Gdyby wzmiankowany autor dożył był czasów obecnych, prawdopodobnie na oznaczenie trzeciej rzeczpospolitej wskazałby ubóstwo krwi czyli anemią, nazywaną u nas bladaczką. Choroba ta jest prawdziwą epidemią we Francyi, a szczególniej w Paryżu: ulegają jej mężczyzni i kobiety, starzy i młodzi, ubodzy i bogaci i doprawdy stosunek chorych do zdrowych jest przestraszający. Następujący list zakochanego byłby charakterystyką dokładną czasów obecnych:

Pani! W dniu wczorajszym wszedłszy do apteki celem kupienia pigułek żelaznych, usłyszałem niespodzianie, gdy zażądałaś słowiczym głosem tego samego lekarstwa, z dodaniem eliksiru mięsnego. Tyle zadziwiająca zgodność naszego stanu zdrowia, wzruszyła mnie nadzwyczajnie. Wspólnie odbywana kuracya podziałałaby zbawiennie na osłabiony nasz organizm.

Obraz powyższy nie jest wcale przesadzony, każden przebywający czas jakiś w Paryżu, potwierdzi prawdziwość naszego określenia. W tym stanie rzeczy ostatnie posiedzenie publiczne Akademii nauk ścisłych wzbudziło ogólne zajęcie, ze względu na mające się odczytać sprawozdanie z doświadczeń czynionych przez profesora uniwersytetu pana Maray, mających na celu wskazanie głównej przyczyny ubóstwa krwi i nieomylnego środka do zwalczenia tej choroby. Galerye były przepełnione.

Rodzaj ludzki, mówi pan Maray, można podzielić na dwie części, ludzi z twarzą rumianą i twarzą bladą. Pierwsi oddychają prawidłowo i skutkiem dostatecznej ilości powietrza posiadają krew bogatą i odznaczają się zdrowiem kwitnącem. Osoby z twarzami blademi w ogóle nie mogą należycie oddychać i to jest główną przyczyną ich osłabionego stanu zdrowia. Określenie powyższe bardzo łatwo usprawiedliwić. Oddychanie wprowadza do naszego organizmu główny pierwiastek składowy powietrza tak zwany tlen; dostateczna jego ilość jest nieodzowną do należytego przygotowania krwi żywiącej całe ciało; w razie przeciwnym cząstki niespalone należycie, czyli nieprzetworzone, obciążają organizm, przynosząc zamiast pożytku szkodę. Doktorzy zawezwani o radę, każą jeść mięso na pół surowe, pić wino Bordeaux, zapisują żelazo, arszennik, strychninę, a mimo tego twarze blade zachowują właściwą sobie cerę i osłabienie zwiększa się z dniem każdym. Zapominają o jednej okoliczności, że można nagromadzić do pieca najbardziej palne przedmioty, płomień jednak nie wybuchnie, skoro utrudnimy przystęp powietrza. Chcąc wzmocnić chorowity organizm, nie trzeba myśléć o zwiększaniu ilości mięsa lub żelaza, ale przedewszystkiem o zwiększeniu ilości powietrza. Możność należytego oddychania jest główną podstawą naszego zdrowia.

Płuca są prawdziwym miechem, posługującym do wprowadzenia powietrza do krwi. Ściany jego są nadzwyczajnie elastyczne i należy poniekąd zmusić je, aby rozwinęły całą swoją działalności. Nie jest to rzecz tak łatwa, jak się zdaje na pozór: wielu ludzi żyje tylko półoddechem, a do utrzymania dobrego zdrowia trzeba oddychać całą piersią.

Płuca tem się różnią od zwykłego mieszka, że ich ściany nie stykają się nigdy wzajemnie, z powodu znajdującego się tam powietrza w ilości obliczanej na tysiąc sześćset centymów kubicznych. Prócz tego przy oddychaniu wciągamy 480 centymetrów kubicznych powietrza, posługującego do odnowienia ósmej części znajdującego się zapasu, a raczej do zastąpienia ubytku przechodzącego do organizmu.

Powietrze więc które wciągamy, zatrzymuje się chwilowo w płucach, zanim rozpocznie czynność sobie właściwą. Zazwyczaj oddychamy 15 do 20 razy na minutę, w przeciągu dwudziestu czterech godzin wciągamy od 10,000 do 14,000 litrów, czyli od 10 do 14 metrów kubicznych.

Ilość ta zmniejsza się wielce u osób słabych, i ztąd bywa niedostateczną do odżywiania organizmu. Liczba oddychań u osłabionych jeżeli zwiększa się, nie daje wielkiego pożytku; ponieważ mieszek nazywany płucami działa szybko, a nie otwiera się dostatecznie; muskuły oddechowe popadają w coraz większą odrętwiałość i ilość wciąganego powietrza zmniejsza się coraz bardziej. Osoby owe osłabione i blade powinny przedewszystkiem pomyśléć o wykształceniu organu oddychania, aby oddychać rzadziej, a wciągać dwa razy większą ilość powietrza. Następstwo takie może być uzyskane w przeciągu dwudziestu czterech godzin, i osłabiony uczuje niewątpliwie pierwsze zarody wzmocnienia.

Teorya powyższa, jak mówiliśmy, wsparta jest doświadczeniami czynionemi przez profesora Maray wraz z doktorem Hillairet, w szkole gimnastycznej wojskowej pod Paryżem.

Początkowo zbyt silny ruch muskułów wywołuje

pewną duszność, ale tego nie trzeba się lękać ponieważ właśnie ta duszność zniewala płuca i jego organa do czynniejszego działania. Wszelki ruch a szczególniej gimnastyka przyśpiesza obieg krwi, a ten właśnie wyprowadza płuca z właściwej im odrętwiałości. W usiłowaniach tych należy unikać przesady; rozwijać je stopniowo, bez nadużycia. Po upływie pewnego przeciągu czasu następuje konieczne rozszerzenie płuc, i zmniejszenie ilości poruszeń deski piersiowej. Pan Maray leczył ubóstwo krwi objawione u młodzieży powołanej do wojska, jedynie tylko za pośrednictwem ruchu. Pod wpływem tyle prostego i łatwego oddziaływania płuca uległy rozszerzeniu, oddychanie sztuczne przeszło w stan prawidłowy i blade twarze pokryły się rumieńcem.

*(D. c. n.)*

---

# NOWE WYDAWNICTWA.

*Dzieł Juliana Bartoszewicza tom IX* obejmuje studya historyczne i literackie, a mianowicie: — 1. Elekcya Michała Korybuta. — 2. Księga kapturów rzeczyckich. — 3. O kasztelanie Brzeskim Matuszewiczu jako poecie. — 4. Chazarowie i Połowcy. — 5. Ksiądz Wojciech z Konojad Dębołęcki. — 6. Starania domu Rakuzkiego w XVI wieku dla pozyskania korony polskiej. — 7. Kasztelania Połoniecka Kochanowskiego. — 8. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii w 1674 — 1675. — 9. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. — 10. Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacya. — 11. Hetmaństwo.—12. Teatyni w Warszawie.

We wszystkich tych artykułach obfitość szczegółów tak wielka, że dość nadziwić się nie można pracowitości i skrzętności autora, który je nagromadzić potrafił.

Dzieła podobne jakie wypracował Bartoszewicz i Szajnocha, są ozdobą literatury naszej a zaszczytem całej społeczności.

*Nowe opowiadania historyczne* D-ra Antoniego I. część druga, wydanie drugie, wydane we Lwowie nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, obejmują: 1. Porwanie króla. 2. Niedoszłe legiony.

Zdolny ten pracownik idzie torem wskazanym przez zmarłych swoich pracowników Szajnochę i Bartoszewicza. Zbliżony więcej do pierwszego przedmiot obrany przedstawia plastycznie z wielkiem życiem, jakby to co opowiada działo się przed naszemi oczami. Pilnuje jednak troskliwie prawdy historycznej i nie unosi się nigdy fantazyą, tam gdzieby prawda ta szwankować na tem mogła. Robi to z żalem nieraz, ale pilnuje jej przedewszystkiem.

Opowiadania te czytają się z wielkiem zajęciem i nie dziwimy się wcale, że się doczekały drugiej edycyi.

*Marysia Ochocianka,* obrazek ludowy przez Ludwika Niemojowskiego wydany nakładem Ungra, właściciela Tygodnika illustrowanego. Przystąpienie firm poważnych do wydawnictw tanich dla ludu przeznaczonych, jest faktem wielce pocieszającym. Cena tej dość obszernej powiastki oznaczona tylko na kop. 6, wydawnictwu temu nie może rokować nietylko nadzwyczajnych, ale nawet takich korzyści, któreby stanowiły przynęte dla wydawcy.

Pan Unger podjął się tego zadania, zasługuje przeto na uznanie i zachętę, aby je dalej prowadził w obranym kierunku.

Początek zrobił dobry: powiatka p. Niemojowskiego obrazuje skutki złego wychowania pieszczonej jedynaczki przez poczciwe i zamożne stadło małżeńskie, w którem, jak się to dość często trafia, żona przewodzi mężowi. Dziewczynka delikatna, obchuchiwana, przyzwyczajona do samowoli, zabawy, strojów i próżniactwa, wyrasta na piękną laleczkę, pełną wdzięku i zalotności, zamiłowaną całą duszą w ponętach świata, które nietylko na wielkim świecie ale i w skromnem otoczeniu wiejskiem stanowią wielką pokusę dla namiętności, ani nauką ani dobrem wychowaniem nie hamowanych. Dziewczyna taka, lękając się troszkę staropanieństwa, wychodzi za mąż bez wielkiego przywiązania, za gospodarza zamożnego, cichego, spokojnego, niezmiernie w niej rozmiłowanego. Następstwa z tego łatwe do odgadnienia.

W domu małżonków wszystko idzie bez ładu i składu; młoda mężatka po różnych swarach domowych przyrzeka i pragnie poprawy, ale brak hartu woli psuje wszystko. Nieład więc domowy zmianie nie ulega, przychodzą straty bardzo dotkliwe, Marysia na jarmarku spotyka się ze Stachem urwisem dawnym do siebie zalotnikiem, z nim bałamuci przy kieliszku, zostaje zupełnie okradziona tak z pieniędzy za sprzedane gęsi jak i z dobytku wyprowadzonego na jarmark, a co najgorsza, że zawiązuje stosunek miłosny z owym urwipołciem, doprowadzony do zupełnej zdrady poczciwego lecz słabego małżonka. Biedak ten zrozpaczony udzieloną mu o tem wiadomością, myśli o samobójstwie, ale ożywiony iskierką nadziei, że to wszystko może być potwarzą, powstrzymuje się od spełnienia tej nikczemności. Wkrótce jednak o prawdzie sam się przekonywa; nadwerężony w zdrowiu poprzedniemi zmartwieniami, ciosu doznanego nieszczęścia znieść nie może i pada trupem w obec wiarołomnej żony.

Nad dalszym losem Marysi Autor już się obszernie nie rozwodzi. Została pijaczką, straciła wszystko i poszła na żebraninę.

Powiastka napisana z talentem ma wiele życia dramatycznego a żadnej sceny zbyt drażliwej, zasługującej na zarzut obrazy skromności. Niemała to sztuka a i zasługa autora. Radzimy mu jednak, aby w dalszych pracach podobnego rodzaju unikał naśladowania mowy ludowej i włościan nie nazywał chłopami. Do nazwy tej przywiązana jest pewna wzgarda, która ludowi podobać się nie może, a naśladowanie swojej mowy uważa za rodzaj szyderstwa, z którą się w książce niechętnie spotyka. Prostota jest konieczną, malowniczość zwyczajna w mowie ludu niezbędną, i tylko te w książeczkach dla ludu przeznaczonych każdy autor powinien mieć na pamięci.

---

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

✝ Donoszą z Krakowa iż tam dnia 5 marca J. E. ks. biskup Dunajewski rozpoczął kanoniczne wizytacye kościołów dyecezyi krakowskiej, od trzech blizko wieków zaniedbane. Pierwsza miała miejsce w kościele katedralnym na Wawelu, w dniu w którym kościół ten obchodzi święto tytularnego patrona swego, Przeniesienie ś. Wacława (5 bieżącego miesiąca).

O godzinie 9-ej kapituła i liczne duchowieństwo oczekiwało przybycia najprzewielebniejszego pasterza, którego powitał w imieniu kapituły ksiądz prałat Szpital, kanonik katedralny, na przemówienie jego odpowiedział biskup wykazując ważność i znaczenie wizytacyi biskupich. Po tej wielkiej doniosłości przemowie pasterskiej przeszło stu kapłanów odśpiewało uroczysty hymn ś. Ambrożego *Te Deum laudamus*, wśród którego dostojny pasterz wprowadzony został przed ołtarz. Tu po odśpiewaniu oznaczonych rytuałem modlitw, udzielił benedykcyę duchowieństwu i zgromadzonym wiernym, poczem zasiadłszy na krześle biskupiem (faldistorium) nad grobem kardynała Fryderyka Jagiellończyka przemówił znów do duchowieństwa i ludu, wzywając wszystkich do kornej modlitwy o pomoc Ducha św. Po Mszy św. najdostojniejszy pasterz udzielił wiernym 40 dni odpustu i przyjmował homagium od obecnego duchowieństwa, poczem nastąpiło odczytanie dekretu biskupiego, ogłaszającego szczegółowe przepisy odnoszące się do wizyty pasterskiej. Po tym akcie rozpoczęły się uroczyste egzekwie za dusze wszystkich biskupów krakowskich, królów polskich spoczywających w grobach kościoła katedralnego krakowskiego, kapłanów tegoż kościoła i wszystkich których zwłoki złożone tu zostały na wieczny spoczynek. Na zakończenie tego obrządku odbyto poważną żałobną procesyę wśród uroczystego śpiewu, co trwało do wpół do dwunastej. Po tej procesyi nastąpiła ścisła wizyta kanoniczna, już tylko w asystencyi kapituły i kleru katedralnego, zacząwszy od wizyty Tabernaculum, potem Baptisorium olejów św. i relikwi. Otworzono srebrną trumnę św. Stanisława i wydobyto z niej trumienkę obitą czerwonym aksamitem i opieczętowaną na krzyż wstęgą białą i pieczęcią biskupa Andrzeja Załuskiego. Kanonicy krakowscy przenieśli trumienkę do skarbca, po jej otwarciu znaleziono w niej relikwie św. Stanisława i św. Floryana. Opieczętowano je nową pieczęcią biskupa Dunajewskiego, poczem kanonicy przenieśli ją znów uroczyście do kościoła i zamknęli w srebrnej trumnie. Klucz jeden od niej zachowano w skarbcu katedralnym, drugi w kuryi biskupiej. Po południu przystąpiono do rewizyi biskupiej wszystkich relikwii św. znajdujących się w katedrze.

✝ W 33 N-rze Gazety Polskiej czytamy: Pod tytułem „Ago, ergo sum" zamieściła „Gazeta Toruńska" artykuł wstępny, zawierający nader trafne uwagi wypowiedziane z tą siłą przekonania jaką daje każda dobra sprawa. Oto co mówi ten artykuł o kwestyi górno-szląskiej.

...W pruskiej Izbie poselskiej poruszano kilkakrotnie sprawę ludności polskiej na Górnym Szlązku. Nikt z posłów niemieckich nie śmiał twierdzić że Górno-Szlązacy nie są Polakami; że ich mową ojczystą nie jest mowa polska, że ich obyczaje, zwyczaje, wierzenia, dążności, usposobienie — nie są polskie; że dotąd mimo najusilniejszych kilkowiekowych zabiegów za strony niemieckiej, nie zdołano ich wynarodowić i zniemczyć. Przeczyć temu nie śmiał ani jeden poseł ani nikt z ławy ministeryalnej, a jednakże z obu tych miejsc miano Górno-Szlązakom za złe, a nam reszcie Polakom jeszcze więcej, że na Górnym Szlązku objawia się działalność polska. A może być inaczej? Kto żyje ten się rusza, robi coś i działa, chcecie żeby tego nie było, czekajcie aż życie na Górnym Szlązku ustanie...

Ale was dziwi, gniewa, czy też niepokoi, że to działalność polska, wolelibyście inną. Darmo, taka to już natura ludzka! Nas to nigdy nie dziwiło

że w was Niemcach objawia się życie niemieckie, że z ust waszych słyszymy codzień prawie: iż tak być powinno, że to zaszczyt wam przynosi, że to podstawa politycznego żywota waszego, rękojmia waszej potęgi i przyszłości. Otóż jesteśmy tyle naiwni iż w żaden sposób nie umiemy pojąć dla czego miałoby być złem u Polaków, co jest dobrem u was?... Musicie więc pogodzić się z tem, że kto żyje, rusza się jak umie, zatem Polacy żyjący muszą się ruszać i działać po polsku.

Jeden z was odezwał się, że pozbawienie Polaków cech narodowych, ich mowy ojczystej, wierzeń i narodowości, to rzecz dobroczynna i pełna zasługi, za co inni wołali mu brawo!... Nie sądźcie, aby można frymarczyć bezkarnie zasadami i mierzyć podwójną miarką: jest sprawiedliwość dziejowa trwalsza i wyższa od ludzkiej, i mściwsza od urządzeń tego świata, nawet od urządzeń państwa pruskiego i całej rzeszy niemieckiej...

Dalej przechodząc od zasad ogólnych do stosunków praktycznych, autor artykułu nadmienia, że postępowanie Polaków pod rządem pruskim nie przekracza w niczem granic prawem zakreślonych, a w końcu mówi:

„Ale wy powiadacie: nie grzeszycie lecz też i o wymagane od nas cnoty się nie staracie; nie dążycie do tego aby się zjednoczyć z narodem niemieckim, pozbyć się waszej odrębności. To prawda, o to się wcale nie staramy i starać nie będziemy... Natury ludzkiej nie zmienicie.

+ Dnia 14 b. m. straszne, choć kilka sekund tylko trwające trzęsienie ziemi, zniszczyło całkiem połowę powiatu Casa-Micciola na wyspie Ischia. Wieść o zburzeniu tej uroczej miejscowości, ogólne w całej Europie wywołała przerażenie i współczucie. Miasto Casamicciola leży na północy klasycznej góry Epomes, dla niezrównanej piękności swego położenia i krajobrazów, nazwane było „*la regina del bagni*” (królową zatoki). W najskwarniejsze lato panował tu cień i chłód orzeźwiający a wytworne łaźnie, kąpiele morskie, cudowny widok na morze, prześliczne spacery wśród szmaragdowej zieloności w gajach cytrynowych i pomarańczowych pod zachwycająco błękitnem niebem ściągało tu corocznie nader licznych gości. Można było słyszeć tu wszystkie niemal języki europejskie. Obecnie wszystko to należy już do przeszłości; trzęsienie ziemi oszczędziło tylko najuboższe chatki i domki na samem wybrzeżu stojące, zaś piękne hotele i domy kąpielowe stojące na wzgórzu w cieniu wspaniałych ogrodów, z widokiem na prześliczną zatokę neapolitańską, rozsypały się w gruzy, lub są tak zniszczone że mieszkać w nich niepodobna.

W pasie od Neapolu aż po za Ischią (czyt. Iskiję), podobnym do półksiężyca, tak na lądzie jak na dnie morskiem każda piędź ziemi jest wulkaniczną. Jest to największy i najbardziej złowrogi teren wulkaniczny w całej Europie. Na tym obszarze, począwszy od Wezuwiusza, rozciąga się pasmo pamiętnych katastrofami miejscowości. Pausilippo z na wpół zasypanemi Puzzuoli, którego gorące źródła siarczane i tak zwana Psia grota, znane są powszechnie; dalej jezioro Agnano, uchodzące w starożytności za wejście do Tartaru, nakoniec wulkaniczny przylądek Procida i Ischia. Trzęsienia ziemi bywają tu dość częste, ale od bardzo dawna nie pamiętają tak gwałtownego jak ostatnie. Jednocześnie z niem miał miejsce nader silny wybuch Wezuwiusza, który wyrzucał z siebie dnia tego kolumny ognia, dymu, popiołu i lawy. W Casamicciola 200 domów legło w gruzach, inne mieszkańcy także musieli opuścić, chroniąc się na pola za miasto. Biednej ludności zabrakło żywności, aż z Neapolu posełać ją musiano. Zakład kąpielowy „de la Misericordia” zniszczony zupełnie. Liczba trupów wydobytych z pod gruzów wynosi przeszło sto, rannych podano 300, ale nie jest to jeszcze dokładne obrachowanie. Nieustannie nadchodzą do Neapolu rozpaczliwe depesze; wyprawiono parowiec z wojskiem na nieszczęśliwą wyspę. Inżynierya wojskowa zajęła się jak najenergiczniej uprzątnięciem gruzów i wzmocnieniem tych domów które nie potrzebują być rozbierane, aby choć czasowo biedni mieszkańcy mogli znaleźć w nich przytułek.

+ Przed samem zagłosowaniem obostrzających praw dla Irlandyi, odbył się w Claremorris pod gołem niebem, meeting (czyt. miting) irlandzkiej ligi ziemskiej, protestującej przeciw niesprawiedliwemu aresztowaniu Davit'a. Między innymi przemawiała miss Parnell, siostra znanego obrońcy sprawy irlandzkiej, młoda, piękna i dystyngowana. Liga kobieca oświadczyła, że będzie urządzać w całej Irlandyi damskie stowarzyszenia, której celem wykonanie ostatniej woli Davit'a. Uchwałę tę usprawiedliwiała miss Parnell w mowie nadzwyczaj zręcznej i dowcipnej. Napadała na Gladstone'a, Bright'a, Ferster'a i innych, przejmując się całkiem szkołą swego brata i okazując bardzo wiele dowcipu i oryginalnego humoru. Miasto Claremorris urządziło na cześć miss Parnel nader świetną illuminacyą.

+ Czy też zastanowiliście się kiedy Czytelnicy, a *niestety, i Czytelniczkt* ile corocznie milionów puszczone bywa z dymem?... A przecież nader to łatwe obliczenie. Akcyza od tytuniu przynosi skarbowi rocznie 13 milionów rs., ponieważ zaś pobieraną jest w stosunku 10 proc. od wartości, zatem wartość cygar i papierosów wyrabianych rocznie w Cesarstwie i Królestwie, przedstawia okrągłą summę 130,000,000 rs.

+ Wiek obecny jest wiekiem zdumiewających wynalazków. Niedawno gazety angielskie doniosły o zbudowanej przez jakiegoś amerykanina lokomotywie, mogącej współzawodniczyć z lotem gołębi, gdyż przebywa milę naszą w niespełna pięć minut. Obecnie donoszą ze Stanów Zjednoczonych iż tam pewien inżynier zbudował aparat wprawiający w ruch statki, nietylko bez żagli ale bez kół i śruby. Jest to maszyna parowa wzniecająca prądy dynamo-elektryczne, które przechodzą przez szczelnie zamknięty rezerwoar, napełniony wodą lekko zakwaszoną. Tlen i wodor powstające z rozkładu wody, prowadzone są rurami pod tylną część statku i tu iskry dodatkowej bateryi elektrycznej powodują szereg wybuchów przez zapalenie zmieszanych dwóch gazów, a wybuchy te popychają statek.

Pewien znowu włoski przemysłowiec wynalazł sposób nadawania sztucznego blasku drukowanym literom. Tak więc będziemy mogli czytać w ciemności gazety i książki. Wynalazca zamierza założyć dziennik w Turynie i drukować go błyszczącemi literami, aby wykazać praktyczność swego wynalazku i rozpowszechnić go po świecie.

## Zawiadomienie.

KRÓLOWIE POLSCY, wydanie dla młodzieży, podług rysunków Tytusa Maleszewskiego w ozdobnie oprawnej książeczce, zawierającej 43 portrety litografowane z tekstem objaśniającym ważniejsze daty i wypadki historyczne, po cenie rs. 2 kop. 50, dla prenumeratorów Tygodnika Mód lub Przyjaciela Dzieci mogą być przesłane franco, za nadesłaniem powyższej kwoty do Administracyi Tygodnika Mód, ulica Chmielna Nr. 20.

Prenumeratę na książkę O SKAŻENIU JĘZYKA POLSKIEGO przez Ludo. Szczerbowicza-Wieczora, w ilości rs. 1 można składać w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i w Płocku u autora. Tamże można będzie nabywać książkę po jej wyjściu z druku, z dodaniem 20 kop. (dla zamiejscowych) na przesyłkę.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy Ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.



## OD REDAKCYI.

W kwartale drugim r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI
w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

**Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50**
**Półrocznie . . . rs. 5**
**Rocznie . . . . rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

**Kwartalnie . . . . . rs. 1.**
**Półrocznie . . . . . rs. 2.**
**Rocznie . . . . . . rs. 4.**

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Марта 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

**Dodatek.**

# Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 13 r. 1881.


## TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

---

(Dalszy ciąg).

Wkrótce dostrzegł w obejściu Stefanii jakąś ostrożność i nieśmiałość, nigdy dotąd nie istniejącą w ich z sobą obejściu; na pozór jednak nic się nie zmieniło, i komuś innemu trudno nawet byłoby dostrzedz tego lekkiego odcieniu wahania się i powściągliwości. Jerzy uczuł tę zmianę z niewysłowioną boleścią; nie zdradzał jednak niczem swego cierpienia; i Stefania tylko obawiając się zdradzić własnych uczuć, starała się aby hrabia był zawsze z nimi. Było to nowe położenie, nad którem każde z nich cierpiało skrycie.

Skoro Krystyan oznaczył dzień swego przyjazdu, Stefania chciała towarzyszyć panom de Fleynac do dworca kolei, aby mu okazać całą swą życzliwość, ale hrabia sprzeciwiał się temu, ponieważ w godzinach południowych było już bardzo gorąco, obawiał się więc aby to nie zaszkodziło pani d'Éricey.

Stefania doznała silnego wzruszenia usłyszawszy głos pana de la Chesnoye wysiadającego z powozu. W jednej chwili stanęła jej przed oczyma kuchnia w oberży napełniona mobilami, Grand-Pierre ze swą karjolką i młody oficer ofiarujący jej tak serdecznie pomoc swej rodziny. Wyszła naprzeciwko niego i podała mu obie ręce. Była tak piękną, tak pociągającą z lekkim rumieńcem na twarzy, z oczami błyszczącemi, choć je przyćmiewała łezka, że Krystyan zadrżał całując jej drobne rączki.

Jednocześnie Stefania uczuła że Jerzy patrzy na nią i mimowolnie spojrzała na niego. Spuścił natychmiast oczy ale twarz jego pobladła. Co może być tego powodem? pomyślała, wskazując przy sobie krzesło gościowi.

Krystan doznał niemiłego zadziwienia widząc Stefanię tak zmienioną. Widział ją u rodziców po tylu ciężkich przejściach, a jednak pełną życia; a dziś zdawała się tak wątłą, tak bezsilną. Nie dziwiło go bynajmniej, że Jerzy i hrabia czuwają tak troskliwie, aby nie nadużywała sił swoich.

— Widzi pan, jakto rzeczy się zmieniły, rzekła z uśmiechem, ja dawniej narzucałam moją wolę Jerzemu jako jego *garde-malade,* dziś on mi za to odpłaca.

— Życzę z całego serca, aby mu się powiodło równie dobrze jak pani; odpowiedział Krystyan. Trudno mi było w pierwszej chwili uwierzyć, aby ten silny i zdrów mężczyzna witający mnie na stacyi, mógł być tym samym panem de Fleynac, który mi się zdawał umierającym w la Chesnoye.

— Po części zawdzięczam to zdrowie panu i gościnności rodziców pana, powiedział Jerzy.

— Ojciec mój rozmawia często z doktorem o pobycie państwa w ruinach Opactwa.

— O! nie mówmy o tem! zawołała Stefania; samo wspomnienie więcej mnie dziś przeraża, niżeli wówczas rzeczywistość.

— Może przejdziesz do twego pokoju, panie de la Chesnoye, wkrótce zejdziemy się znów przy obiedzie, odezwał się hrabia.

— Pani d'Éricey zaniepokoiła mnie, rzekł Krystyan do Jerzego, gdy ten wprowadził go do pięknie i wygodnie urządzonego pokoju. Czy chorowała?

— Nie była to niby żadna niebezpieczna choroba, ale w ciągu zeszłego roku przebyła tyle gwałtownych wstrząśnień, że to oddziałało szkodliwie na cały jej organizm. Lekarz zaleca nadewszystko spokój i niemęczące rozrywki. Obecnie jest już lepiej, i spodziewamy się że pobyt tu pana przyłoży się wiele do jej uzdrowienia.

Jakoż obecność Krystyana wywarła rzeczywiście pomyślne skutki prędzej niżeli Jerzy mógł spodziewać się tego. Obiad przeszedł bardzo wesoło; układano plany spacerów łódką, pieszo lub powozem, do godniejszych widzenia miejsc w okolicy. Stefania brała udział w rozmowie z ożywieniem które ucieszyło bardzo hrabiego, i powiększyło jego życzliwość dla młodego gościa. Łatwo też było polubić Krystyana, choćby nawet uczucie wdzięczności nie przemawiało za nim. Trochę roztrzepany, trochę lekki, łatwo ulegający różnym wpływom, nieco popsuty pobłażliwością i uwielbieniem okazywanem mu w domu, zachował przecież korzyści wynikające z wychowania w zacnym domu: to jest szlachetne uczucia, wzniosłe i prawe zasady. Napróżno, hołdując modzie, usiłował niekiedy przedstawić się gorszym niż był rzeczywiście, łatwo było odgadnąć jego wartość prawdziwą pod tym światowym werniksem. Nie wiele potrzebował czasu do zaaklimatyzowania się w Roques i poznania zwyczajów i nawyknień jego mieszkańców. Układał ze Stefanią bukiety, dopomagał do zwijania włóczek lub jedwabiów, zabawiał wesołą rozmową; pani d'Éricey przyjmowała chętnie przysługi oddawane jej przez Krystyana, widać było że ją nie nudzi jego ciągłe towarzystwo, namówiła nawet hrabiego aby pisał odtąd w salonie swoje pamiętniki dotyczące ostatnich wypadków, w których Krystyan brał udział i mógł dostarczyć ważnych wiadomości i objaśnień, dzięki wspomnieniom z czasu wojny i swej niewoli w Niemczech. Tym sposobem Stefania nie pozostawała nigdy długo sama, co oddziaływało nader zbawiennie na jej zdrowie; polepszenie było widoczne: cera lepsza, w całej postawie przebijało więcej życia i siły; była rozmowniejszą i weselszą. Jerzy był najczęściej razem z nimi, urządzał wszelkie rozrywki i spacery, czuwając nad tem starannie aby były zastosowane do sił Stefanii, ale dziwiła go tak nagła w niej zmiana.

Cóż mogło wywołać tak cudowne skutki? mogłożby sprowadzić je samo tylko uczucie wdzięczności? widział że stosunki między nimi stają się codzień przyjaźniejsze, a ojciec jego zdaje się dopomagać jeszcze do tego. Niekiedy Jerzy, wracając do domu, słyszał przez okno ożywioną rozmowę i dźwięczny śmiech Stefanii, a wchodząc do pokoju zastawał małe gronko przyjaciół rozmawiających z sobą spokojnie i poufale. Krystyan wdzierał się powoli w jego prawa i otaczał Stefanię troskliwemi staraniami, ona także przywoływała go czasem, żądając od niego jakiejś małej przysługi; wszystko to sprawiało niewysłowioną boleść Jerzemu, ale Stefania nie domyślała się nawet na jakie skazuje go cierpienia. Stłumiła w sobie pierwsze i jedyne uczucie, jak jej to nakazywał obowiązek, i sądziła że spoczywa głęboko uśpione gdzieś w głębi jej serca. Dopiero w ostatnim roku, w Paryżu, kiedy ciężkie troski Jerzego czyniły ich przyjazne stosunki tak niebezpiecznemi, uczuła że wbrew jej woli zaczyna ono budzić się z długiego letargu. Stefania była wtenczas silną i mężną, postanowiła też uchronić się od niebezpieczeństwa, odsuwając się od zbyt drogiego przyjaciela. Okoliczności przyszły jej w pomoc; ucieczka Heleny, śmierć pana d'Éricey, wprawiły jej serce w pewien rodzaj otrętwienia, a czas który przepędziła następnie w Roques przeszedł jej tak mile i błogo, że nawet obecność Jerzego nie zamącała tego spokoju. Biedna kobieta czuła się tak szczęśliwą że może żyć tak blizko niego, że posiada jego zaufanie i przywiązanie, iż nie starała się zbadać natury uczuć przyjaciela ani też zgłębiać swych własnych. Zresztą trwało to bardzo krótko; wojna a następnie wyjazd Jerzego, zamąciły zbyt prędko ten spokój, aby mogła zrozumieć o ile był niebezpiecznym.

Czas w którym Stefania była prawdziwą opatrznością dla Jerzego, wywołał dla niej jeszcze szkodliwsze następstwa. Ziemska namiętność nie skaziła jednem nawet tchnieniem tego posłannictwa miłosierdzia i poświęcenia, a jednak pani d'Éricey czerpała w niem najjadowitszą truciznę jaka może wniknąć do serca kobiety. Przez cały ten czas gdy Jerzy był tak blizkim śmierci i gdy później odzyskiwał zdrowie, przyzwyczaiła się poświęcać mu wszystkie życia swego chwile, wszystkie swe myśli, czuć że należy wyłącznie do niej i być dla niego wszystkiem.

Przez wiele tygodni po ich powrocie do Roques, Jerzy pragnął widzieć zawsze przy sobie tę której zawdzięczał swoje ocalenie, a gdy odzyskał pamięć i przytomność, ona napełniała życiem i rozweselała pokój, w którym hrabia wraz z synem odzyskiwał siły. Jerzy nie mógł się przyzwyczaić do jej nieobecności, wyglądał z utęsknieniem powrotu... Tak, ona była wszystkiem dla niego i nie odsuwała od ust tej upajającej czary, nie domyślając się jak drogo miała okupić to swoje upojenie. Męczarnie biednej kobiety rozpoczęły się skoro Jerzy już zdrów zupełnie wrócił do zwykłego trybu życia. Zdawało jej się że zmienił się dla niej; był równie jak dawniej dobrym, uprzejmym, prawie aż nazbyt wdzięcznym, ale widać było w jego obejściu jakiś chłód, jakiś przymus, a co najdziwniejsza pewną niejednostajność; niewidzialna jakaś zapora zaczynała wznosić się między nimi. Nakoniec pewnego dnia Jerzy wspomniał o powrocie do la Belourde.

Było to dla Stefanii czemś podobnem do światła błyskawicy wśród ciemności; poznała w tej chwili prawdziwy stan swego serca; zrozumiała że stracila nad niem władzę. Uczucie tak długo poskramiane jej wolą, panowało w niem teraz wszechwładnie, spotęgowane jeszcze długą walką. Stefania przepędziła noc straszną; sumienie jej wołało groźnie: „Nie masz prawa kochać go, on należy do innej”. A z drugiej strony myśl, że sama jest wolną, osłabiała w niej poczucie obowiązku podtrzymujące ją dawniej.

Podobne wstrząśnienia musiały oddziałać zgubnie na jej zdrowie. Pewnego dnia rano, Sara znalazła ją zemdloną na łóżku; nastąpił potem zupełny upadek sił, ataki, w ciągu których to biedne serce tak ciężko doświadczone, zdawało się wyrywać gwałtownie ze swego więzienia. Przepisy i napomknienia lekarza zatrwożyły panów de Fleynac: porzucili za-

miar przeniesienia się do siebie, a Jerzy poświęcił się całkiem przyjaciółce, posiadającej tyle prawa do jego wdzięczności.

Jakżeby mogły nie sprawiać na niej wrażenia te dowody jego troskliwości! Starania, któremi mężczyzna otacza chorego, są tak wzruszające, tak słodkie! czujemy że tylko uczucie mogło w nim wzbudzić tę potrzebę niesienia ulgi, właściwą zwykle tylko naturze kobiecej. Stefania bezsilna, omdlewająca, doznawała tego rozkosznego wrażenia, jakie uczuwa dziecię usypiające na łonie matki. Ale błogi ten stan był jakby ciszą przed burzą. Rozczulenie, wdzięczność, podziwienie obudzone najbardziej ujmującemi przymiotami, których codzień nowe odbierała dowody, nie mogły stłumić ognia, którego siły tylko osłabienie nie dozwalało jej ocenić należycie. Ostatnią zaporą powstrzymującą jej uczucie, było głębokie przekonanie tkwiące od dawnego czasu w jej sercu. Wierzyła w przyjaźń Jerzego, nie przypuszczała aby mogła pozyskać miłość jego. Doświadczenie przebyte w młodości nie łatwo nam wychodzi z pamięci, sam tylko Jerzy byłby mógł zatrzeć to wspomnienie, lecz dbały o swój honor i szczęście przyjaciółki, ukrywał starannie swoje uczucia.

Niestety! jedno spojrzenie, pochwycone w chwili przebudzenia, osłabiło i tę ostatnią zaporę. Można nakazać ustom milczenie, ale ten płomień który wybucha z duszy przez oczy, w tych chwilach gdy namiętność opanuje wszechwładnie całą naszą istotę, dosięga z nieprzepartą siłą tę która go wywołała i niweczy wszelkie jej wątpliwości! Tak samo oddziałała na Stefanię ta jedna tak krótka chwila. Prąd magnetyczny tryskający z oczu Jerzego, zniweczył w jednej sekundzie długoletnie przekonanie. Nieograniczona, niewysłowiona radość której doznała w tej chwili, przeraziła Stefanię, a pomimo to jakieś niewymownie słodkie uczucie przebijało się przez wyrzuty jej sumienia, jak różane barwy jutrzenki przez zamglone jeszcze obłoki.

Przy pierwszem zaraz, spotkaniu z Jerzym pani d'Éricey zrozumiała całą trudność ich względem siebie położenia. Czuła że bez powodu prawie rumieni się lub blednie, że nie umie już jak dawniej zapanować nad sobą. Zdawało jej się także iż Jerzy zwraca na nią niekiedy badawcze spojrzenia, i prawie od niej stroni, i odtąd dręczyła ją ciągle obawa, aby się nie zdradziła ze swemi uczuciami. Przybycie Krystyana, z razu niezbyt dla niej pożądane, wydało jej się obecnie prawdziwem oswobodzeniem, a jego obecność między nimi dowodem łaski Opatrzności. To poczucie bezpieczeństwa objawiło się w szczerszej wesołości i tej swobodzie obejścia, które tak dotknęły Jerzego i oddziałało zbawiennie na zdrowie Stefanii, tak potrzebującej spokoju. Stary hrabia ucieszony tem szczerze, objawiał swoje zadowolnienie w sposób przyjemniejszy dla Krystyana niżeli dla własnego syna. Jerzy przyłączał się coraz rzadziej do ich towarzystwa; interesa zatrzymywały go większą część dnia za domem; obawy wywołane wyuzdanemi czynami komuny i aresztowaniem zakładników, skłaniały go do częstych wycieczek do miasta, gdzie mógł zasięgnąć pewniejszych wiadomości. Pewnego dnia odezwał się do Stefanii układającej program popołudniowej przechadzki.

— Czy nie chciałabyś pojechać do tego starożytnego zamku? nasz przyjaciel nie widział go dotąd, ale może wolałabyś popłynąć łódką? w takim razie uprzedzę Franciszka, on jest zręczny i przytomny.

— Więc nie wybierasz się z nami? zapytała z pewnym odcieniem smutku.

— Nie, pojadę do miasta a ztamtąd do la Belourde.

Już cały dzień poprzedni przepędził zdala od niej i na to wspomnienie serce mu się ścisnęło.

— Jeżeli popłyniecie łódką, dodał, gniewając się na siebie za ten dowód słabości, to wracając moglibyście zatrzymać się w la Bélourde i zabrać mnie z sobą.

Uśmiech wrócił na usta Stefanii.

— Czy zgadza się pan na to, panie Krystyanie? zapytała.

— O! jak najchętniej! odpowiedział.

— W takim razie stawimy się nad brzegiem rzeki o pół do siódmej.

Stefania zajęła zwykłe swe miejsce, gdzie na stoliczku leżały już książki i zaczęta robota; hrabia i Krystyan usiedli przy biórku. Jerzy oddalił się z westchnieniem.

Pani d'Éricey widząc że towarzysze jej są wyłącznie zajęci swą pracą, zaczęła czytać romans angielski, wtem zwróciły jej uwagę słowa Krystyana.

— Nie zdoła pan sobie wyobrazić jak przykry jest klimat północnych Niemiec; nic dziwnego że mieszkańcy emigrują ztamtąd ciągle, ubodzy do Ameryki, bogaci do Włoch lub Francyi. Te kraje są dla nich prawdziwym rajem! co do mnie, te straszne mrozy zabiłyby mnie z pewnością, gdyby nie dobroć pewnej damy...

— Czy tak! rzekł hrabia ze śmiechem.

— Już niemłodej, dodał Krystyan; prawdziwie, jej tylko zawdzięczam życie.

Następnie zaczął opisywać całkiem niepochlebnie północne okolice Prus, w których przebywał jako jeniec.

Stefania przestała słuchać i czytała dalej. Około piątej udała się z Krystyanem nad brzeg rzeki, gdzie Franciszek już czekał na nich. Płaska łódź, jakich używają rybacy w tej okolicy, sunęła lekko po rzece, po za którą ukazywały się coraz nowe widoki. Czyste i świeże powietrze wieczorne, balsamiczna woń dolatująca od brzegów, kołysanie łódki, uspasabiało ich do przyjemnych marzeń.

O godzinie umówionej byli już w la Bélourde, i Franciszek zatrzymał łódź około skał ocienionych lasem. Była tam mała przystań, w której bieg wody był tak nieznaczny, że zaledwie poruszał gałązkę wierzby której koniec Stefania spuściła na jej powierzchnię. W powietrzu rozchodził się orzeźwiający zapach wonnej żywicy i mięty, a na dnie rzeki widać było malutkie rybki przesuwające się w różne strony jak srebrzyste strzałki. Gdy w tym ślicznym zakątku panował spokój niezmącony niczem, nieco dalej promienie zachodzącego słońca tworzyły na powierzchni rzeki ogniste smugi, roztrącane ciągle bystremi falami wody. Leciuchne ważki o skrzydełkach połyskujących jak szafiry lub szmaragdy, bujały bliżej brzegów, a zimorodek stojący pod krzakiem łoziny, pił spokojnie, nie wiedząc że obecność swą zdradza metalicznym połyskiem swej szyi.

— Jakaż to piękna okolica! rzekł Krystyan. Co to za różnica mieszkać w miejscowości tak szczodrze uposażonej przez przyrodę, lub w stronach całkiem pozbawionych wdzięku i poezyi.

— Można być wszędzie szczęśliwym albo nieszczęśliwym, odpowiedziała Stefania z lekkiem westchnieniem. Jednak przyznaję że te nasze południowe prowincye mają dla mnie bardzo wiele powabu.

Siedzieli naprzeciwko siebie w końcu łodzi, Franciszek który zajął miejsce na przodzie, nie przeszkadzał im wcale do rozmowy.

— Opowiadałem dziś właśnie hrabiemu, jak są przykre i smutne okolice Prus północnych. Czy pani uwierzy że o mało nie popełniłem wielkiej niedorzeczności; tylko co nie wymieniłem nazwiska matki jego synowej!

— Czy być może?... Gdzież ją pan poznał?

— Więc matka moja nic pani o tem nie wspominała w swych listach, że dziwnym a razem szczęśliwym trafem, spotkałem tam osobę bardzo przychylną dla Francuzów. Wzięła mnie do swego małego domku na przedmieściu, i zawdzięczam to jedynie jej troskliwości o mnie, że wróciłem jeszcze do kraju. Pani von Laybach obchodziła się ze mną przez cały ten czas jak z synem; rozmawialiśmy wiele o Francyi, a wtedy nazwisko pani wracało często na moje usta. Dopytywała się bardzo troskliwie o panią i osoby najbliżej panią obchodzące, a nareszcie pewnego dnia zaczęła mówić o córce swej i o panu de Fleynac.

— Czy wiedziała że?...

— Aż nazbyt dobrze; biedna kobieta płakała gorzko mówiąc o tem ze mną. Córka wróciła do niej na czas jakiś. — Zdaje się że książę de Sauves znienawidził ją i porzucił. — Ale ciche i skromne życie, jakie musiała pędzić w domu matki, nie przypadło jej do smaku, wkrótce też zawiązała stosunki... ale może ja pani sprawiam przykrość?

— Mów pan dalej; powiedziała Stefania opierając głowę na dłoni.

— Otóż, w pobliżu mieszkał młody i bogaty właściciel najwspanialszego pałacu w całej okolicy, i wkrótce ścisłe ich stosunki nie ulegały już żadnej wątpliwości. Matka zaczęła przestrzegać, czynić niemiłe uwagi; po kilku dniach piękna pani wyjechała ze swym kochankiem do Berlina. Mówią nawet że w czasie wojny była przy ambulansach niemieckich, aby być bliżej pana von Stredow.

— Pana von Stredow! zawołała Stefania; on to właśnie dozwolił mi wywieźć Jerzego z fermy, aby nie dostał się w ręce rozhukanych i pałających zemstą żołnierzy.

— A tak! w czasie tej napaści, w ciągu której pani broniła go tak mężnie i o której doktór tak często wspomina. Biedny Prusak! Doprawdy, żałuję że go spotkało nieszczęście.

— Jakie nieszczęście? zapytała żywo Stefania.

— Poległ w ostatniej już bitwie.

— Mój Boże! ileż to nieszczęść i smutków!... Cóż się stało z Heleną?

— Nie wiem. Pani von Laybach pisała do mnie w ostatnim swym liście, że nie wie gdzie przebywa jej córka i że ma zamiar przybyć do Paryża i tam jej szukać. Ja także, przez wdzięczność dla matki, starałem się zasięgnąć o niej wiadomości; utrzymywano że jest w Paryżu; że była chora wyjeżdżając z miasta w którego okolicach zginął pan Stredow, ale nie mogłem się dowiedzieć nic pewnego.

Stefania pochyliła się ku niemu, (gdyż z powodu obecności Franciszka mówili dość cicho) i słuchała go drżąca.

— Nie wspominaj pan o tem nigdy w obecności hrabiego, rzekła, bo nie wie...

— Proszę nie zważać na mnie, odezwał się nagle tuż przy niej głos Jerzego.

Ale głos ten był tak zmieniony, że pani d'Éricey spojrzała na niego niespokojnie i spotkała jakieś dziwne, pełne wyrzutów spojrzenie. Zarumieniła się silnie, sama nie wiedząc dla czego; Jerzy był bardzo blady.

— Czy odebrałeś jakie złe wiadomości? zapytała mimowolnie, myśląc o tem czego dowiedziała się przed chwilą.

Nie odpowiedział jej zaraz. Usiadł w drugim końcu łodzi i wziął od Franciszka wiosło.

— Nie można powiedzieć że są dobre, powiedział nakoniec wolno, jakby z przymusem. Niepokój wzrasta. Nie wiadomo ile jeszcze dni upłynie zanim armia zdoła dostać się do Paryża. Obawiają się o nieszczęśliwych zakładników! dotąd to tylko pewne, że jeszcze żyją.

— Oddaj wiosło Franciszkowi, a zbliż się do nas, odezwała się znów Stefania.

Jerzy wstrząsnął przecząco głową i dowiózł ich wkrótce do debarkaderu w Roques. Franciszek wyskoczył na brzeg, aby przytrzymać łańcuch i Stefania już zamierzała wejść na schodki, gdy pan de Fleynac zawołał:

— Ostrożnie! stopnie mokre, możesz się pośliznąć.

Wziął ją jak dziecko na ręce, zaniósł aż na trawnik i przycisnął do serca z dziką prawie gwałtownością.

— Steniu! szepnął, nie skazuj mnie na zbyt ciężkie cierpienia!

Puścił ją, gdy stała nieruchoma, zmieszana; odsunął się prędko i zaczął rozmawiać z Krystyanem. Stefania szła przed nimi drżąca ze wzruszenia. Co on chciał przez to powiedzieć? mówił tak cicho... Może go nie zrozumiała; może się myli... Co mogą znaczyć te dziwne słowa?

Przez cały wieczór to pytanie wracało jej na myśl. Jerzy rozmawiał ze zbytniem ożywieniem, pani d'Éricey dostrzegła, że oczy jego często zatrzymywały się na niej, lecz odwracał je natychmiast gdy spotkały się z jej spojrzeniem, i zwiększało to jeszcze jej niepokój i wzruszenie.

Nakoniec, stary hrabia, który wcześniej udawał się na spoczynek, wstał, ucałował Stefanię i uścisnął rękę Krystyana. Jerzy odprowadził go jak to czynił zawsze; zwykle wracał bardzo prędko, wychodzili razem na taras i długo tam jeszcze korzystali z pięknych wiosennych wieczorów.

Stefania czekała więc na Jerzego, trzymając w ręku gazowy szalik, który zarzucała na głowę wychodząc do ogrodu, ale Jerzy nie wracał i Krystyan zaczął się niecierpliwić.

Łatwo się domyśleć, że Krystyan nie mógł pozostać obojętnym, przebywając ciągle z kobietą młodą i powabną; już sama wiosna, przedstawiająca się tak urocze w tych okolicach, mogłaby usposobić do romantycznych marzeń najspokojniejsze nawet umysły. Krystyan, który dotąd nie był zbyt gorącym wielbicielem piękności przyrody, zaczął teraz ulegać tym podwójnym wpływom. W ciągu tych jasnych i cichych wieczorów, spędzonych wśród wonnych kwiatów zdobiących taras, Stefania wydawała mu się jeszcze idealniejszą, jeszcze więcej anielską jak zwykle: przez cały dzień cieszył się tą myślą iż ją znów tak zobaczy, dla tego też czuł żal do Jerzego że opóźnia tak pożądaną dla niego chwilę.

— Chodźmy, rzekł po kilku minutach oczekiwania, pan de Fleynac przyjdzie do nas; po co mamy tracić część tak pięknego wieczoru.

Stefania zarzuciła na głowę gazę i wyszła z nim do ogrodu oświeconego światłem księżyca. Nie na wiele się to jednak zdało Krystyanowi że ją wyprowadził, bo pani d'Éricey stawała się z każdą ubiegającą chwilą więcej milczącą i zamyśloną; siedząc przy balustradzie patrzyła na rzekę, w której kołysały się lekko gwiazdy, odbijające się w jej przezroczu.

Sądziła, że dzięki wieczornym cieniom, nie potrzebuje się obawiać aby jej nie zdradził wyraz twarzy, a jednak przy tem niepewnem świetle Krystyan wyczytał w niej jakiś niepokój, jakieś namiętne wzruszenie, i wyobraźnia jego, już podniecona, rozpłomieniła się jeszcze silniej. Nigdy jeszcze nie widział Stefanii w podobnem usposobieniu; zwykle była tak spokojna, tak umiała zapanować nad sobą! Czyby to on był powodem tak widocznej zmiany? Był młody, samo to przypuszczenie przyśpieszyło bicie jego serca i uwierzył że tak było.

Wsparty o balustradę pochylił się ku Stefanii; pragnął przemówić do niej z czułością, poetycznie, ale był tak wzruszony, że zdołał tylko powiedzieć:

— Jakże tu pięknie; jakże szczęśliwy kto tu żyć może!...

Chciał dodać: „obok ciebie", lecz zabrakło mu odwagi i głosu. Podziękował za to niebu, gdyż nagle zobaczył tuż obok siebie Jerzego, ale nie domyślał się wcale jaką burzę wywołały jego słowa.

Jerzy usłyszał je równie dobrze jak Stefania, i przypomniała im się obojgu dawno już ubiegła chwila, w której rozstrzygnęły się ich losy.

Stefania nie zapomniała nigdy tej pięknej także nocy, w której patrząc na ten sam zachwycający krajobraz razem z Jerzym, uczuła pierwsze tchnienie tej miłości, mającej dotrwać do końca życia; wyznanie tego uczucia wydarło się z jej serca prawie w tych samych słowach, które teraz wymówił Krystyan... A nazajutrz Jerzy odjechał i niwecząc to zaledwie rozkwitające szczęście, zakrwawił biedne jej serce. Wspomnienie tego wieczora wyryło się głęboko i na zawsze w pamięci Stefanii.

Jerzy prawie zapomniał o tem, ale te słowa które dziś usłyszał, cierpienia wywołane miłością bez nadziei, udręczenia zazdrości, przypomniały mu żywo z najdrobniejszemi szczegółami tę nieszczęsną chwilę, w której dobrowolnie odepchnął od siebie tę, którą teraz kochał nad wszystko.

Zwrócił na nią oczy i dojrzał łezkę spadającą z jej długich rzęs na drżące rączki. Nawet na chwilę nie przyszło mu na myśl, że popłynęła z jego powodu. Ostatnie słowa Krystyana natchnęły go przekonaniem, że Stefania usłyszała wyznanie, które tak żywo ją wzruszyło.

— Tak, pomyślał, Krystyan wyznał jej swą miłość! ona oddała mu swe serce, a ja stracę ją na zawsze! Ha! nieszczęśliwy szaleńcze, zasłużyłeś na to!...

Opanowała go taka rozpacz, że nie miał odwagi pozostać z nimi.

— Tak pan sądzi? rzekł odpowiadając na słowa Krystyana — gdyż to wszystko trwało zaledwie kilka sekund — mnie się zdaje, że nie jest to prawdą niezaprzeczoną.

Odszedł i zniknął w dębowym lasku.

— Wrócę już do domu, rzekła pani d'Éricey, jestem dziś znużona. Do widzenia, panie Krystyanie.

Wstała i odeszła, a Krystyan nie śmiał pójść za nią.

— Że tez ten pan de Fleynac przyszedł tak nie w porę, pomyślał rozdrażniony; zdaje mi się, że ją nudzi tą swoją zbyteczną troskliwością; zdawała się tak wzruszoną; jeszcze jedna chwilka, a byłbym wyznał jej moje uczucia. Jakaż to zachwycająca kobieta!... lubi mnie widocznie, bo wszakże przywołuje do siebie, choć już pan Jerzy jest przy niej. Szkoda że nie pisałem już o tem do la Chesnoye, wypada ich uprzedzić, pomimo że wiem dobrze co mi odpowiedzą. No! znajdę jeszcze sposobność pomówienia z nią bez świadków.

Poszedł do swego pokoju nucąc wesoło.

Nazajutrz poranek był prześliczny. W nocy padał drobny deszczyk, odświeżył powietrze nasycające je silniejszą jeszcze wiosenną wonią.

Krystyan zbliżył się do okna jeszcze przed ósmą godziną, i usłyszał że ktoś na dole otworzył także okno, a głos, którego dźwięk przyśpieszał bicie jego serca, zapytał:

— Gdzież się to wybieracie tak rano i bezemnie?

— Sądziliśmy że jeszcze śpisz, moje dziecię, odpowiedział hrabia; idziemy do młyna, w którym chcemy zaprowadzić pewne ulepszenia, a że dzień tak piękny, postanowiłem towarzyszyć Jerzemu. Jeżeli masz ochotę, to pójdź z nami. Każę zaprządz i wrócimy powozem; pójdziemy teraz brzegiem rzeki i zjemy u młynarki pierwsze śniadanie.

— Czy pan konsyliarz pozwala? zapytała śmiejąc się Stefania.

Nazywała tak często Jerzego, który czuwał nad tem troskliwie, aby się stosowała do przepisów doktora.

— Nie jest to zbyt daleko, a powietrze bardzo czyste; powiedział Jerzy.

— A więc pójdę z wami; trzeba tylko uprzedzić pana Krystyana.

— Zejdę w tej chwili, zawołał Krystyan przez okno.

Zbiegł prędko ze schodów i w minutę później był już na tarasie. Okno w pokoju Stefanii było otwarte, wiatr powiewał firankami puszczonemi luźno, ukazując ściany pokryte niebieskim kretonem w biały do cieniu deseń, z liści paproci przeplatanych liśćmi wodnych kwiatów, a w głębi pokoju łóżko z białemi firankami.

Krystyan zatrzymał się prawie mimowolnie i patrzył w okno.

— Czekamy na pana! zawołał z żywością Jerzy.

Nie wypadało mu pozostać tam dłużej, odwrócił się więc z westchnieniem i spostrzegł panią d'Éricey schodzącą ze schodków, w toalecie rannej, równie świeżej jak ten majowy poranek. Ubrana była w skromny szlafroczek z czarnego perkaliku w węższe i szersze białe paski, ale na niej wydawało się to prawie strojnie i ślicznie jej było w słomkowym kapelusiku przybranym kwiatami; twarzyczkę jej zdobił lekki rumieniec, a usta uśmiechały się jeszcze milej jak zwykle. Powitała Krystyana wesołem dzień dobry i rzekła, opierając się na ramieniu Jerzego:

— Już bardzo dawno nie byliśmy razem we młynie.

— Dla tego też, aby przechadzka była jeszcze przyjemniejszą dla ciebie, połączymy ją z połowem węgorzy.

— Wyborna myśl! zawołała Stefania; ale zabierzmy z sobą Franciszka, on do tego najzręczniejszy.

— Dobrze! zawołamy go przechodząc koło warzywnego ogrodu.

Przywołano ogrodnika; w parę minut był już gotów i przybiegł ucieszony że będzie mógł uczestniczyć w tak miłej dla niego rozrywce.

Szli przez lasek nasycony wonią kaprifolium i akacyi; droga ciągnęła się nad brzegiem rzeki, a w dali słychać już było turkot młyna. Stefania idąc zbierała leśne kwiatki, ale ręka jej ciągle wspierała się na ramieniu Jerzego, korzystającego z upojeniem z tej szczęśliwej chwili; hrabia rozmawiał z Krystyanem, który bezwątpienia przekładałby inne towarzystwo.

Młynarka powitała ich okrzykami radości; Stefania usiadła na poręczy mostka, a panowie de Fleynac weszli do młyna.

— Ciekawy jestem z czego się będzie składać nasze śniadanie? odezwał się Krystyan; zapewnie podadzą nam chleb i mleko, jak w sielankach.

— Zdaje się panu, jak widać, że jesteś w Normandyi, odpowiedziała Stefania wesoło; ta poczci-

wa kobieta nie ma mleka, a gdyby go pan zażądał przekonywałaby że jest bardzo niezdrowe..

W parę minut potem ukazała się młynarka, niosąc na półmisku przystrojonym liściami winnemi, wielkie ananasowe poziomki, i postawiła go na stoliczku pokrytym obrusem pachnącym lawendą. W tej chwili nadszedł Franciszek z siecią. Poczciwy ogrodnik posiadał teraz pewne niezaprzeczone przywileje; nietylko że Stefania obsypywała go wraz z jego matką dobrodziejstwami, ale jeszcze wyręczała się nim i zasięgała jego rady w interesach gospodarskich, i obchodziła się z nim więcej jak z przyjacielem niżeli jak ze służącym; usprawiedliwiał te oznaki wdzięczności, przynoszące zaszczyt tak jemu jak i jego pani, nie przekraczając granic właściwego sobie stanowiska i spełniając coraz gorliwiej swoje obowiązki. Wchodząc do młyna spojrzał na niebo i rzekł do Jerzego:

— Słońce za chwilę padnie na głowę pani.

— Prawda, odpowiedział Jerzy; patrz, Steniu, już dosięgło twego ramienia.

— A więc przenieśmy się gdzieindziej, rzekła; naprzykład na wyspę; tam tak pięknie i chłodno.

Rzeczywiście o kilka kroków dalej była śliczna wysepka pokryta świeżą zielonością. Jerzy wziął półmisek z poziomkami, Franciszek poniósł talerze i chleb żytni i poszli ku wysepce. Woda opadła zupełnie, tak że sączyła się tylko drobnemi smugami wśród kamieni, ułożonych umyślnie w jednem miejscu, dla ułatwienia przejścia. Można było przebyć rzekę nie zamoczywszy się wcale, a bez czółna nie możnaby inaczej dostać się na wysepkę. Jerzy i Stefania przechodzili tak często tą drogą, że i teraz puścili się nią bez wahania; ale Krystyan patrzył z pewnym niepokojem na panią d'Éricey, przeskakującą jak pliszka z kamienia na kamień. Była zmuszona podnieść trochę suknię, i pan de la Chesnoye widział cały bucik pokrywający drobną i zgrabną nóżkę Stefanii; ścigał oczyma pełne wdzięku ruchy tej wysmukłej kibici, nie ruszał się z miejsca, aby nie stracić tak uroczego widoku.

Pani d'Éricey obejrzała się doszedłszy do przeciwnego brzegu, a widząc że stoi ciągle w miejscu, zawołała:

— Niech pan idzie śmiało! Czy pan się lęka zawrotu głowy?

Krystyan zaczął biedz prędko, sądząc że zdąży jeszcze dopomódz jej do wyścia na brzeg, ale prawie już przy końcu pośliznął się i upadł, a zanim powstał, co nie przyszło zbyt łatwo, bo kamienie były pokryte ślizkim mułem. Jerzy i Franciszek wprowadzili już Stefanię do gaju, gdzie na murawie przygotowano śniadanie.

Jerzy przyniósł pęk łoziny zostawionej tam przypadkiem, położył go pod drzewem, aby służył za ławkę i biorąc Stefanię pod rękę, przeprowadził ją do tego prawdziwie sielskiego siedzenia. Zatrzymał na chwilę jej drżące paluszki i przycisnął do nich usta. Skoro podniósł głowę, nadchodzący właśnie Krystyan, spostrzegł z zadziwieniem namiętność tryskającą z jego oczu; dotąd nie domyślał się nawet tego. Stefania zadrżała i odwróciła się prędko; wydawała się Krystyanowi bardzo bladą. Ale może to tylko cień tak na twarz jej padał.

Usiedli na trawniku i wkrótce poziomki znikły z półmiska. Wierzby i inne drzewa tworzyły nad ich głowami sklepienie nie przepuszczające promieni słońca; u nóg ich płynęła woda z cichym szmerem; ptaszki skaczące po gałązkach drzew śpiewały wesoło; wszystko oddychało radością i uspasabiało do miłego rozmarzenia. Czy temu przypisać także tę niewysłowioną słodycz spojrzenia Stefanii? Czy z tego powodu twarz jej pokrywała się to rumieńcem, to ponętniejszą jeszcze, pełną życia bladością, a głos jej przybierał dźwięki tak rozkosznie pieszczące ucho? Krystyan nie umiałby na to odpowiedzieć, ale jakkolwiek zaniepokojony trochę tem co dostrzegł przed chwilą, czuł że urok jej coraz silniej oddziaływa na niego, i postanowił jak najprędzej zapewnić się o swojem szczęściu, o którem, jako prawdziwy Francuz, nie powątpiewał już wcale. Pochylił się ku pani d'Éricey i zaczął mówić do niej stłumionym głosem, unosił się nad pięknością natury, ale umiał to wypowiedzieć w ten sposób, iż trudno się było nie domyśleć, że to obecność Stefanii czyniła ją tak dla niego uroczą. Pani d'Éricey siedziała zamyślona wsparłszy głowę na ręce, jemu zaś zdawało się, że go słucha uważnie i z zajęciem. Nagle zobaczył łezkę błyszczącą na jej rzęsach... przejęty radością posunął się ku niej.

— Chodź Steniu! ojciec na nas woła! rzekł powstając Jerzy, który zdawał się drzemać siedząc o kilka kroków dalej.

Zadrżała jakby ją przebudzono nagle.

— Idę, odpowiedziała. Franciszku, odnieś to wszystko do młyna; ale zapomnieliśmy zupełnie o węgorzach. Tak nam tu było dobrze!

— Ułowiłem parę wcale ładnych, proszę pani, powiedział ogrodnik. Już to trzeba przyznać, że nam tu daleko lepiej niżeli tam w tych ruinach w lesie.

— Franciszkowi ta zima na długo zostanie w pamięci, odezwał się Krystyan.

— Któżby mógł o niej zapomnieć? szepnął Jerzy, przyciskając do piersi rękę Stefanii.

Doprowadził ją do czółna które czekało na nich, a gdy się już znajdowali na przeciwnym brzegu, Stefania usiadła w powozie obok hrabiego, a Jerzy i Krystyan usiedli na koźle.

W kilka minut później byli już w Roques. Przyniesiono listy z poczty; służący oddał parę pani d'Éricey, a jeden Krystyanowi. Stefania zaczęła czytać swoje, a pan de la Chesnoye zamierzał uczynić toż samo, wtem posłyszawszy lekki krzyk pani d'Éricey rzucił list i pobiegł do niej; blada i bezsilna opierała się o ścianę; Jerzy był już przy niej i podtrzymywał ją aby nie upadła.

— Co się stało? Co ci jest? pytał przerażony.

— Nic, nic! odpowiedziała oddychając z trudnością.

Ścisnęła konwulsyjnie list w ręku, i jakby wiedziona obawą odsunęła się trochę od niego. Spojrzał na nią z najżywszą boleścią i cofnął się o parę kroków. Stefania poszła chwiejnym krokiem do biblioteki i zamknęła drzwi za sobą.

Jerzy stał przez chwilę nieruchomy, a w twarzy jego malował się tak ciężki smutek, że Krystyan zapytał z żywością:

— Czy zasłabła nagle? Czy się pan o nią lęka?

— Pragnę wierzyć że powiedziała prawdę, że to było tylko przemijające osłabienie, odpowiedział Jerzy, usiłując zapanować nad sobą i wyszedł z pokoju.

Krystyan otworzył z roztargnieniem list od matki; nie mogła to być odpowiedź na ten który posłał wczoraj, a w tej chwili myśli jego były przy Stefanii. Skoro jednak przeczytał kilka wierszy, można było poznać z wyrazu jego twarzy, że znalazł w nim coś budzącego w nim silniejsze zajęcie.

„Zdaje mi się, moje dziecię, pisała matka, że wdzięki i przymioty naszej wspólnej przyjaciółki, czynią na tobie coraz silniejsze wrażenie. Sprawiłoby mi to prawdziwą radość, gdybym mogła mieć nadzieję, że nie doznasz zawodu, ponieważ jest to osoba którą szczerze kocham i szanuję. Ale strzeż się, mój synu, aby cię nie spotkało przykre rozczarowanie! jestem prawie pewną że pani d'É..... nie pokocha już i nie zaślubi nikogo. Możesz zawierzyć słowom matki, pragnącej oszczędzić ci najlżejszego nawet cierpienia."

Krystyan kochał z całego serca dobrą swą matkę, ale był zbyt upojony nadzieją, aby mógł posłuchać nawet jej głosu. Może tak było dawniej! pomyślał. Ta biedna kobieta była bardzo nieszczęśliwą w pożyciu z mężem, i mogła zdradzić swą niechęć do zawarcia powtórnego związku, — ale jestem pewny, że matka moja zmieniłaby zdanie, gdyby tu była z nami. Ileż słodyczy, ileż czułości wyrażały dziś te śliczne oczy! niepodobna wątpić że silne uczucie zrodziło się w jej sercu. Jakże jej było ładnie, gdy przeskakiwała tak lekko z kamyka na kamyk!... a jakie zachwycające nóżki...

W kilka minut później; nabrał jeszcze silniejszego przekonania o nieomylności swych błogich nadziei. Skoro wszedł do salonu, zastał tam samą tylko Stefanię, która skinęła zaraz na niego, aby zbliżył się do niej.

— Chciałabym pomówić z panem, rzekła, skoro więc ci panowie odejdą do swoich zatrudnień, niech pan przyjdzie do biblioteki, gdzie będę czekać na niego.

Była jeszcze bardzo blada; miał się właśnie zapytać o jej zdrowie, gdy wszedł Jerzy i hrabia i przeszli natychmiast do sali jadalnej na drugie śniadanie. Stefania usiłowała okazać się wesołą; Jerzy był smutny i przygnębiony, ale za to Krystyan był w doskonałym humorze i wraz z hrabią podtrzymywał rozmowę.

Po śniadaniu pani d'Éricey usiadła na swem miejscu i robiła kwiaty do kościoła; ale zamyślała się często i opuszczała ręce na kolana. Krystyan widział w tem dobrą dla siebie wróżbę, i cierpliwie oczekiwał na chwilę w której hrabia przestanie pisać i uwolni go od wspólnej pracy.

Jerzy oddalił się zaraz po śniadaniu, pod pozorem jakiegoś nader pilnego zajęcia, zamierzał nawet wyjść nie pożegnawszy Stefanii, ale go przywołała i uścisnąwszy jego rękę, rzekła z czułością i politowaniem:

— Drogi, kochany Jerzy!

Zaledwie spojrzał na nią i odszedł prędko.

Czas wydawał się nieznośnie długim Krystyanowi; miał żal do hrabiego że go zatrzymuje tak długo. Nakoniec hrabia spostrzegł że dłużej niż zwykle zajmował się pracą i oddalił się do swego pokoju, Krystyan wyszedł z nim razem; zazwyczaj o tym czasie wracał do siebie i odpisywał na listy; ale teraz zbiegł napowrót ze schodów jak tylko hrabia wszedł do siebie i powrócił do pustego już salonu.

Tu zatrzymał się czas jakiś. Prawdopodobnie najodważniejszy żołnierz zawaha się chwilkę zanim pójdzie do szturmu, więc nie można się dziwić Krystyanowi, że i w sercu jego zrodziła się nagle obawa. Tylko jedne drzwi oddzielały go od biblioteki, w której znajdowała się Stefania, a on nie śmiał ich otworzyć. Trwało to jednak zaledwie minutę; przycisnął klamkę i wszedł śmiało:

*(D. n.)*

## Opis do N-ru II.

N. 1—3. Ubrania wizytowe.

N. 1. Suknia ozdobiona szarfą.

Spódnica niedotykająca ziemi pokryta trzema szerokiemi, jedna na drugą zachodzącemi falbanami plisowanemi, objętemi i naszytemi wązkiemi pliskami z atłasu lub materyi. Tak samo zakończona jest krótka baskina stanika z kwadratowym wykrojem z przodu, dopełnionym atłasową plisowaną szmizetką i kołnierzem wykładanym. Rękawy powyżej łokcia ozdobione falbanką, pliskami i kokardą atłasową. Szeroka szarfa atłasowa skośnie przez biodra przepasana, z boku na pukiel i węzeł związana, u dołu zakończona jest kokardą ze wstążki.



N. 1. Suknia z bawetowym stanikiem.



N. 2. Suknia z chusteczką w tureckie pasy „col napolitain."



N. 3. Suknia z ranwersem i plastronem. Spódnicę patrz ryc. 24 w N. 11.

N. 2—3 i 35. Suknia z draperyą i stanikiem z baskiną. Krój draperyi ryc. 35.

Suknia przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 2—3, garnirowana koronką 10 cent. szeroką, odrobiona była z materyi i pluszu, przód i boki spódnicy z długim trenem, pokryte były pluszem, wyciętym u dołu w głębokie, materyą objęte zęby. Model i miary sutej draperyi podajemy na ryc. 35; bryt przedni *a* z jednej strony sfałdowany do 80 cent. długości, dochodzi do bryta tylnego, z drugiej dodaje się bryt boczny *b*, zeszyty z przodem do gwiazdki, w górze są przyfałdowane, dalej obadwa oszyte koronką i upięte w sposób wskazany na ryc. 3; *c* przedstawia cały bryt tylny, od dwukropka do krzyżyka zeszyty z brytem bocznym, a z drugiej strony zfałdowany podług ryc. 2 dochodzi u dołu aż pod garnirunek z koronki, pod którym jest przyczepiony do spódnicy. Stanik z przodu przy wykroju szyi i u dołu



N. 4. Ubranie balowe z atłasu i gazy. Patrz ryc. 39.

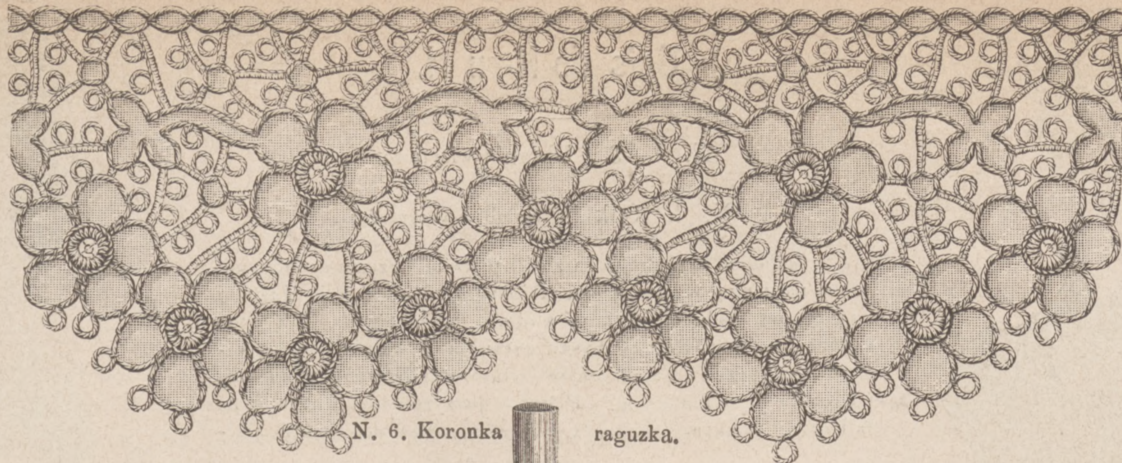


N. 5. Ubranie balowe z atłasu i tiulu. Patrz ryc. 38.

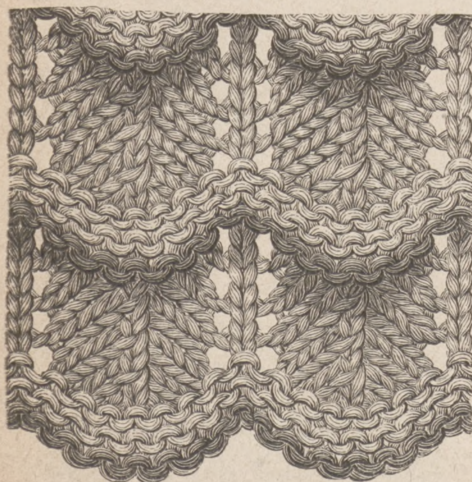
baskiny oszyty jest pluszem i ogarnirowany koronką; z tyłu zakończony dwoma trójkątami trzymającemi w prostych brzegach po 40 cent. długości, ogarnirowanemi koronką, w górze zfałdowanemi i przypiętemi kokardą do baskiny.

N. 15—16. Haft na tekę lub podkładkę do pisania. Wyszycie złotem na aksamicie. Czwarta część deseniu naturalnej wielkości na ryc. 16.

Podajemy łaskawym czytelniczkom próbkę nowego rodzaju bardzo efektownej i łatwej roboty złotem na aksamicie. Jak to widać na deseniu naturalnej wielkości kontury i proste linje wyszywa się cienkim złotym sznureczkiem, przyszywanym cienkim jedwabiem złotego koloru, środek zapełniony ściegami prostemi, wyszytemi złotą nitką i krótko ciętym bajorkiem złotym, którego rzędy mijają się ze sobą.



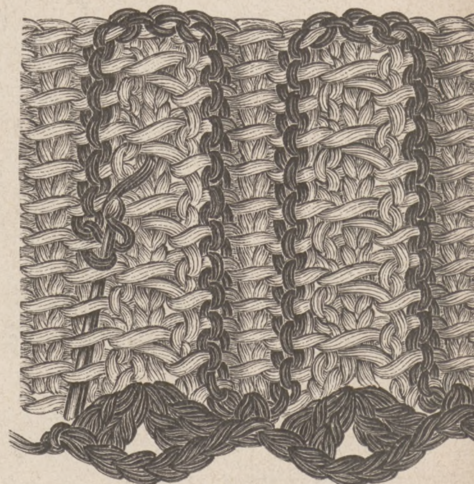
N. 6. Koronka raguzka.



N. 8. Ząbki do spódniczki włóczkowej ryc. 20 w N. 11.



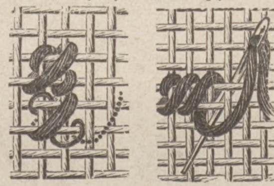
N. 7. Przykrycie na lampę.



N. 9. Szlak szydełkowy do ryc. 19. w N. 11.



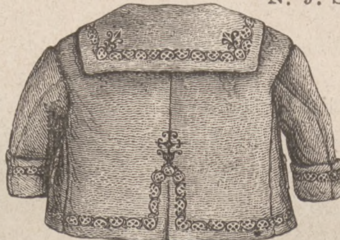
N. 10. Kaftaniczek włóczkowy robiony na drutach. Patrz ryc. 26 w N. 11.



N. 12a Wyszycie ści. deseniowego do r. 11.



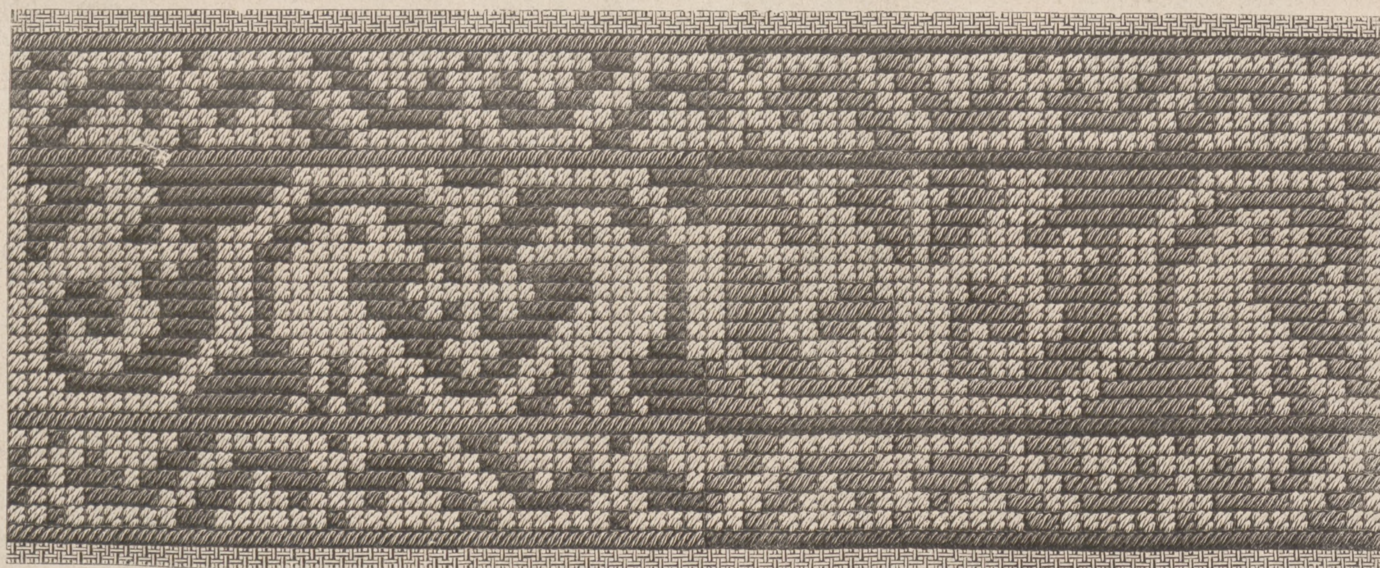
N. 12b. Wyszycie ściegu do r. 11.



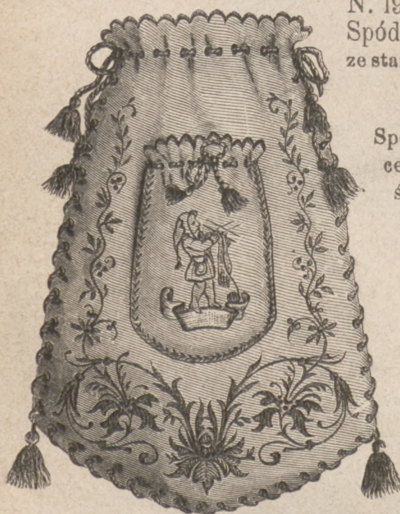
N. 11. Kaftaniczek flanelowy dla dziecka.

N. 17—18. Robota pończochowa na okrągło wygiętym drucie fiszbinowym.

Do roboty ciepłych spódniczek nader dogodne są takie druty, a nawet służyć mogą do wszelkich sztuk szerokich, wykonywanych rzędami tam i napowrót idącemi, bo niedozwalają oczkom spadać. Próbka 18 przedstawia w koło robioną spódniczkę wraz ze szlakiem dolnym.



N. 13. Szlak ściegiem gobelinowym, patrz ryc 12 a i b.



N. 14. Woreczeek haftowany.

N. 19 i ryc. 9 w N. 12. Spódniczka dziecinna ze stanikiem. Robota szydełkowa.

Spódniczkę formą princesse robi się od dołu ściegiem zwykłym tunetańskim, a szlak dodaje się później oddzielnie. Całą spódniczkę robi się od razu w jednej sztuce tam i napowrót, model zaczęty był na o: 200, a gubienie podług formy 3 razy w każdej połowie, zaczyna się w siódmem obrobieniu, zrabiając razem oka 24 z 25, 51 z 52i 76 z 77, licząc od brzegu do środka przodu, a od środka do drugiego brzegu w przeciwnym porządku. Dalej do wcięcia w pasie powtarza się gubienie co trzeci rząd, kilkanaście razy, podług formy dopasowanej do wieku i wzrostu dziecka; w staniku także podług formy przybierać i gubić. Po wykończeniu dolną część pleców spoić z lewej strony, w górnej części do zapinania, a brzegi zarówno jak rękawki i wykrój szyi obrobione o: ścisłemi i ząbkami. Szlak dolny robi się oddzielnie w poprzek na o: 20, podług próbki na ryc. 9 w. N 12, która tam podana jest na mniejszą z jednej strony dane dziurki liczbę oczek. Dwa rzędy gładkie tunetańskie daje się ciągle naprzemian z dwoma obrobieniami deseniowemi, których robotę dokładnie wskazaliśmy na ryc. 3 w N. 48 z roku 1880. Po skończeniu szlaku dodają się odmiennym kolorem ząbki i zwierzchnie paski, na które wsuwa się szydełko pod cały rząd zwierzchnich części o: tunetańskich i obrabia takowe oczkami łańcuszkowemi, sposobem dokładnie na próbce wskazanym. Przed przyszyciem górny brzeg szlaku obrobić rzędem o: ści. i pikotów.



N. 26. Drzwiczki do szafki. Malowanie na drzewie.

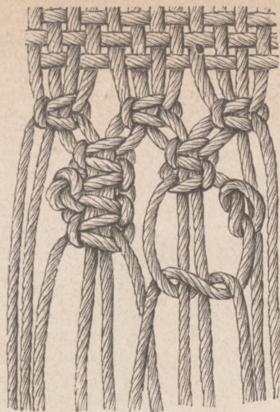
N. 20. Spódniczka robiona w koło na drutach.

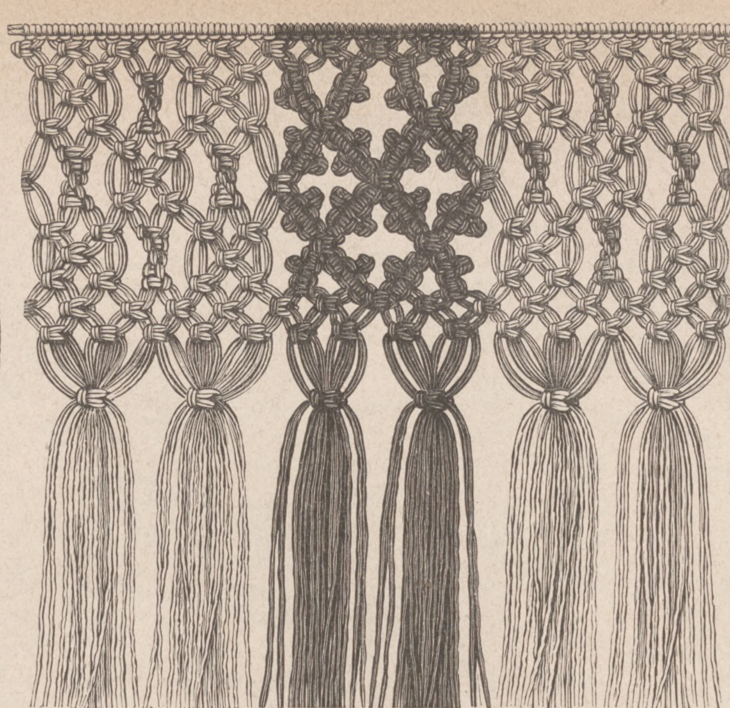
Model białej włóczkowej dziecinnej spódniczki miał 76 cent. szerokości a 28 długości. Robotę zaczyna się od szlaku dolnego na ocz: 198. trzema krętemi rzędami; w rzędzie 4-tym * 4 o: gładko, przybrać 2 gład: trzy o: zrobić razem, czyli zgubić gładko,

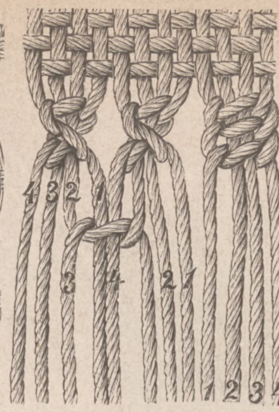


N. 15. Przykrycie na imbryczek z gorącą kawą.

2 o: gład: 1 przybrać; powtarzać od gwiazdki. Rząd 6, 8 i 10 robić jak 4-ty, a 5, 7, i 9 przerabiać tak żeby wyglądały gładko. Dziesięć wskazanych obrobień powtórzyć jeszcze 4 razy, obrobić dwa rzędy gładkie a dalej robić tło w paski lub jak się podoba. Ku górze zwęzić stopniowo z boków do o: 174, które nakoniec w górze zmniejsza się do połowy robiąc po 2 o: razem; poczem obrobić jeszcze 6 razy i zakończyć. Po 53 obrąbieniach tła w koło zaczyna się rozporek, na któren trzeba odwracać robotę jak w pięcie i robić na przemian gładko i kręto, tak ażeby deseń był ciągle jednakowy z prawej strony. Skończoną spódniczkę przypina się do stanika z szyrtyngu.

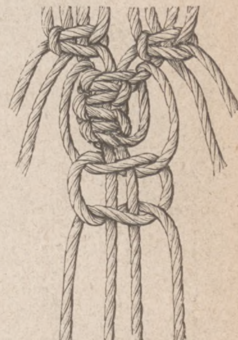

N. 17. Wiązanie węzłów z pikotami.

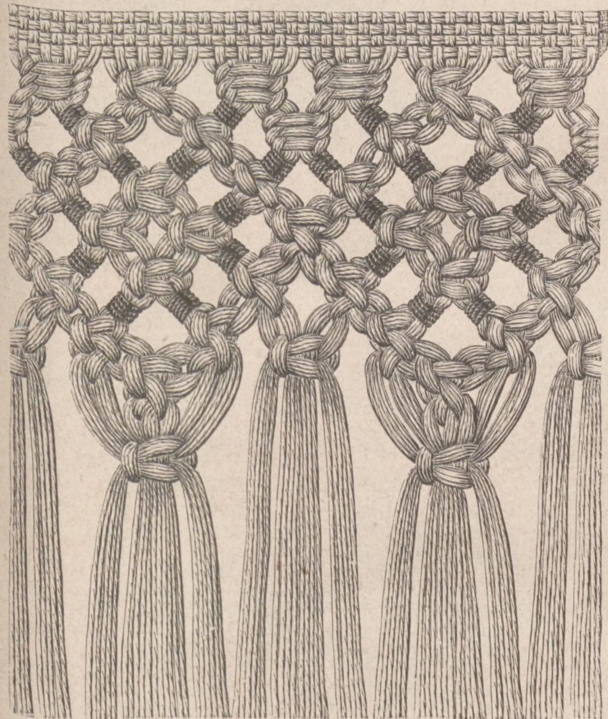

N. 21. Frendzla w węzły z pikotami.

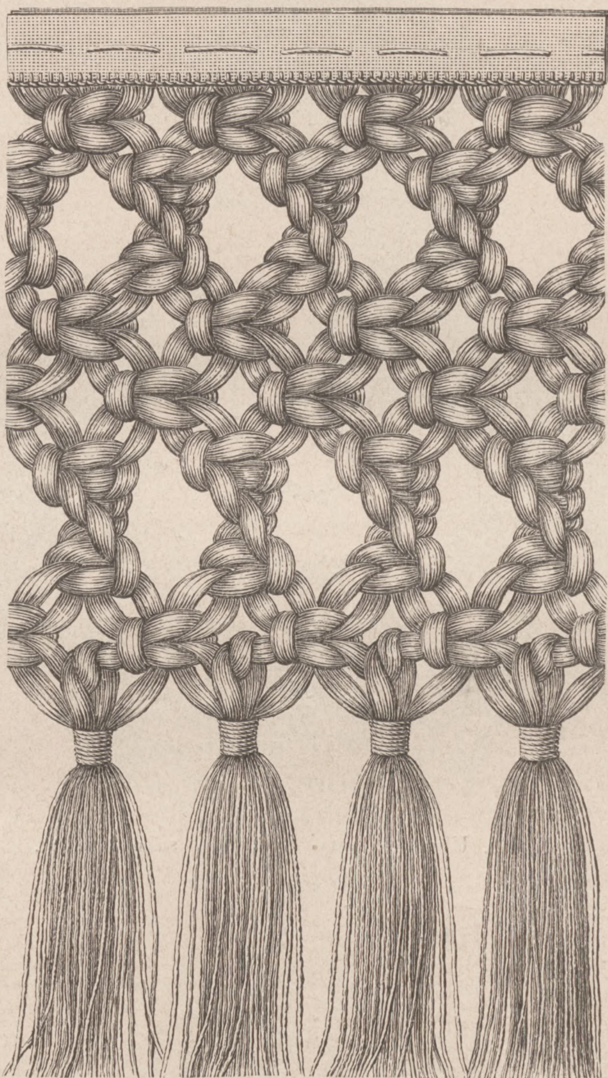


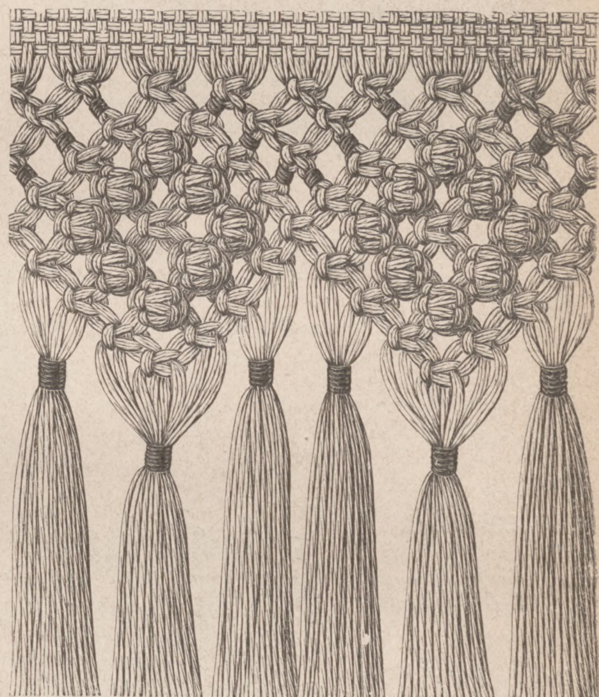
N. 18 Wiązanie węzłów plecionych.


N. 19. Wiązanie podłużnych węzłów, patrz rycina 20.


N. 20. Wiązanie podłużnych węzłów.


N 22. Frendzla z nagłówkiem przewiązywanym kolorowo.


N. 24. Frendzla z nagłówkiem w węzły plecione.


N. 23. Frendzla z nagłówkiem w kwadraty.

## N. 21. Chusteczka z tiulu i koronki.

Prosty kawałek tiulu 170 cent. długi a 40 szeroki, w końcach do 5 cent. zaokrąglony, oszywa się w koło koronką 7 cent. szeroką, którą u dołu 5 cent. od brzegu naszywa się drugi raz. Następnie złożyć chusteczkę w sposób wskazany, a końce z przodu przewiązać.

## N. 22. Zarzutka strojna, Entrée de bal.

Szalik jedwabny przerabiany w deseń aksamitny, 200 cent. długi a 50 szeroki, oszyty w koło frendzlą sznelową 10 cent. szeroką i sutą riuszą z koronki, stanowi zarzutkę do wyjścia na wieczory.

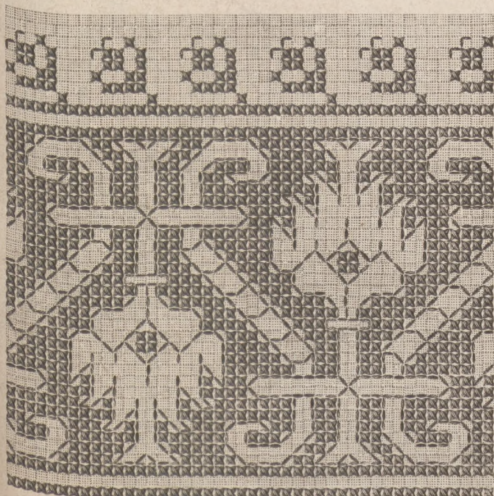
## N. 24. Spódnica od sukni ozdobiona draperyą.

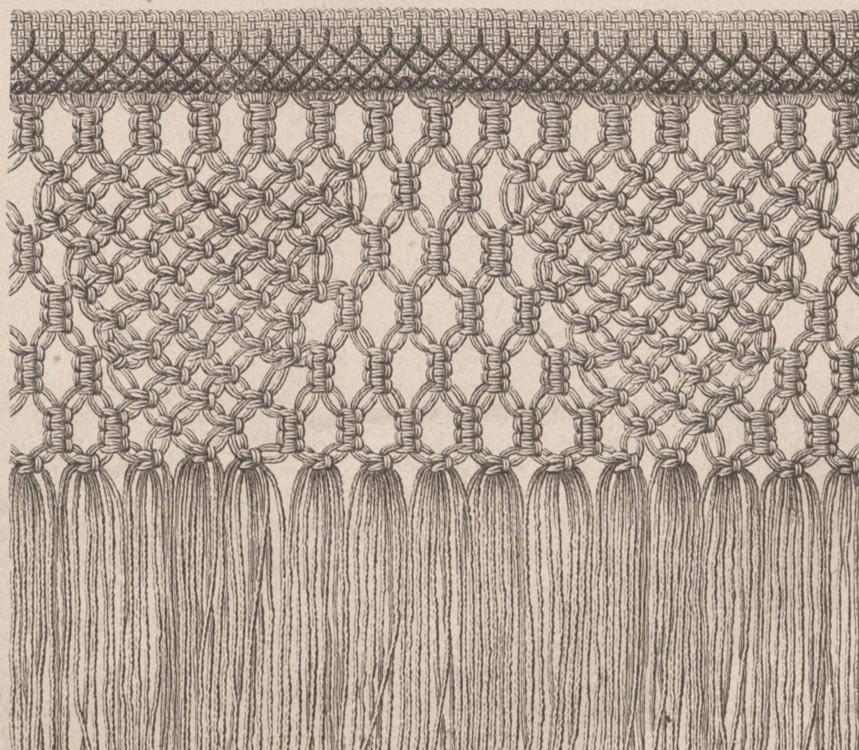
Dolną część spódnicy zdobią plisowane falbanki i bufki, nad któremi z przodu ułożona draperya z bryta mającego u dołu 124, w górze 64 cent. szerokości, w środku 95, z boków 104 cent. długości. Bryt ten jest z boków sfałdowany do 46 cent. długości przez co z przodu skrócony do 60 cent. Tylny bryt z materyału gładkiego, 150 cent. długi, z boków oszyty 12 cent. szerokiemi pasami w kratę, jest do 88 cent. przyfałdowany i między szwy tylnego i bocznych brytów spódnicy wszyty.

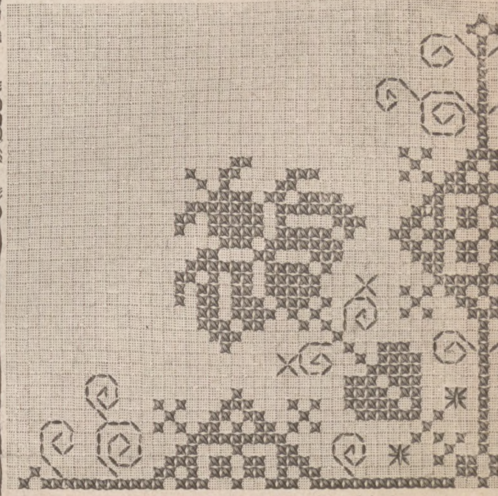
## N. 27—28. Dwa wiosenne kapelusze.

## N. 27. Kapelusz z odwiniętem rondem.

Rondo kapelusza podszyte jest atłasem


N. 26. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 10 i 11 w N. 11.


N. 25. Frendzla z nagłówkiem związanym w zwykłe węzły.


N. 27. Czwarta część gwiazdki do ryc. 7 w N-rze 11.

przemarszczanym w bafki, a z brzegu objęte 3 cent. szerokim aksamitnym skosem, od którego dobrze odbija naszyta złota torsadka. Ubranie z 30 cent. szerokiej materyi surah w kratę i z piór strusich do cieniu.



N. 27. Kapotka dla małej dziewczynki.

których przednie, skośnie ścięte końce są z boku węzłem przewiązane. Baskinę pleców zdobi upięcie z dwóch trójkątów, mających w prostych brzegach po 50 cent.



N. 29. Paletocik z pelerynką.



N. 30. Paletocik z kapturkiem



N. 31. Ubranie z pereł i szneli do sukni balowej.

N. 28. Beret z ażurowej dżetem przerabianej słomy.

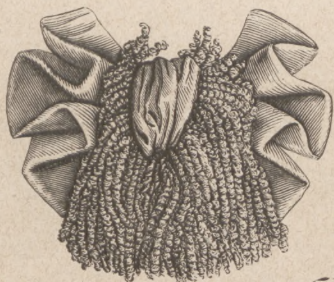
Podszyty kolorowym atłasem, ubrany piórami, kwiatami i atłasem.

N. 29--30. Stanik wycięty do sukni wieczorowej lub balowej.

Draperyę przy baskinie układa się z dwóch kawałków materyi 54 cent. szerokich, w brzegach tylnych sfałdowanych i przy tylnym brycie wszytych,

długości. Model z różowego surah, ubrany był pluszem i kremową koronką; spódnica zrobiona podług ryc. 2 i 3.

(d. n.)



N. 32. Kokarda ze sznelą.



N. 33. Ubranko ze złotej koronki i grelotek



N. 38. Ubranie balowe. Plecy do ryc. 5.



N. 34—37. Ubrania dla dzieci.

N. 34. Sukieneczka z bluzką i fałdowaną spódniczą. N. 35. Sukienka dla małego dziecka. N. 36. Paletocik dla chłopczyka. N. 37. Sukienka princesse.



N. 39. Ubranie balowe Plecy do ryc. 4.